

PODCHORAZKY



2

NUMER
ROK V

FOTOGRAFOWIE UWAGA!!!

Redakcja „Podchorążego” pragnąc zachęcić wszystkich Kolegów Fotografów do wykonywania większej ilości dobrych zdjęć z życia wojskowego i zawiązać trwałą współpracę z Nimi, postanowiła od numeru następnego wprowadzić stałe premjowanie najlepszych z nadesłanych fotografii.

Spośród zdjęć nadesłanych do każdego numeru, kilka najlepszych lub najciekawszych będzie nagrodzonych premją w wysokości od 2 zł. do 5 zł. Fotografie te będą zamieszczane w najbliższym numerze „Podchorążego” z zaznaczeniem ich wyróżnienia. Zdjęcia niewyróżnione będą zamieszczane (jak dotychczas), bez zaznaczenia o nadesłaniu ich na stały konkurs premjowy.

Przy kwalifikowaniu fotografii do premji (i odpowiedniej jej wysokości) brane będą pod uwagę zalety artystyczne i techniczne zdjęcia, pomysłowość ujęcia tematu, sam temat i jego aktualność, oparte w pierwszym rzędzie na przeżyciach żołnierskich podchorążych zarówno w polu, w koszarach, jak i... wogóle wszędzie.

Zdjęcia powinny posiadać wymienione na odwrocie nazwisko i przydział wojskowy autora. Przyznana premja będzie przesłana w ciągu 10 dni od daty wyjścia danego numeru „Podchorążego”.

Koledzy! Zachęcamy Was do stałej i bliskiej współpracy z Redakcją. Zareagujcie żywo i obficie na nasze wezwanie.

NAKŁADEM GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ

ukazał się popularny cykl

„BIBLIOTECKI SPORTOWEJ”

Nr. 1. W. Junosza Dąbrowski — Co to jest sport	Zł. 0.75	Nr. 21. W. Hirth — Wyższa Szkoła szybownictwa	3.80
Nr. 2. Co każdy o boksie wiedzieć powinien	0.75	Nr. 22. W. Pulst — Nauka gry w lawn-tenisa	2.—
Nr. 3. W. Ziętkiewicz — Sprzęt narciarski, wyd. III	1.10	Nr. 23. L. Kapitaniak — Działanie i obsługa motocykla	2.—
Nr. 4-5 W. Pytlasiński — Tajniki walki zapaśniczej	1.50	Nr. 24. A. Gubatta — Zarys gry w golfa	2.50
Nr. 6. Inż. M. T. Bohatyrew — Jak samemu zbudować płaskodenną łódź wiosłową	2.—	Nr. 25. W. Żalazowski, W. Olędzki — Wychowanie fizyczne w obozach letnich	1.50
Nr. 7. L. Szwykowski — Żeglarz śródlądowy	2.80	Nr. 26. J. Meissner — Nauka pilotażu	2.—
Nr. 8. Inż. Z. Trylski — Mały podręcznik obozowania, wyd. II	1.50	Nr. 27. L. Kapitaniak — Działanie i obsługa samochodu	2.50
Nr. 9. J. Podoski — Pistolet w walce i sporcie	2.50	Nr. 28. E. Bachem inż. dypl. — Praktyczny podręcznik pilota szybowcowego, przekł. B. Stachoń mjr. pilot	3.50
Nr. 10-11. W. Pytlasiński — Podnoszenie ciężarów	1.50	Nr. 29. R. Jodłowski — Ping-pong	1.20
Nr. 12-13. E. Lenartowicz — Podręcznik wioślarstwa rogowatego	1.50	Nr. 30. E. Nehring — Zasady łyżwiarstwa	2.80
Nr. 14. J. Podoski — Strzelanie	2.50	Nr. 31. Z. Łochocki — Łucznictwo	2.—
Nr. 15. Cz. Mierzejewski — Zaprawa lekkoatletyczna, wyd. II	1.50	Nr. 32. J. Szewczykowski dr. — Higjena zaprawy sportowej i doraźna pomoc w sporcie	1.70
Nr. 16. M. Zaruski gen. — Przewodnik po terenach narciarskich Zakopanego i Tatr Polskich	2.—	Nr. 33. W. Kwast i Józef Baran — Piłka siatkowa	2.20
Nr. 17. E. Śląski gen. — Zasady zaprawy i sportowej jazdy konnej	1.80	Nr. 34. K. Laskowski — Samoobrona w 17 chwytach	1.80
Nr. 18. Szymczyk F. — Kolarstwo (turystyka, tor, szosa)	2.—	Nr. 35. J. Grabowski — Piłka nożna	1.80
Nr. 19. Państwowa Odznaka Sportowa, wyd. V	1.80	Nr. 36. W. Krygier — Hokej na lodzie	2.80
Nr. 20. A. Zaleski — Krótki podręcznik pływania, wyd. II	1.50	Nr. 37. W. Dobrowolski — 15 minut gimnastyki porannej	2.80

Do nabycia w GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 69, TEL. 202-19, P.K.O. Nr. 162

oraz we wszystkich większych księgarniach w Polsce

PODCHORĄŻY

Organ Szkół Podchorążych.

Nr. 2 (75)

15 PAŹDZIERNIKA 1935 R.

ROK V



Na pierwszym marszu

fol. Sobański

NASZE OBLICZE WEWNĘTRZNE

Młode pokolenie ma kult dla armji. To też do służby przyszłiśmy nietylko z poczuciem spełnianego obowiązku ale także z uczuciem zadowolenia. Zadowolenie nasze płynie ze znalezienia dla psychiki naszej właściwej atmosfery.

Bowiem pokrewieństwo duchowe młodego pokolenia z zasadniczymi czynnikami psychiki armji nadaje cechy trwałości, głębokości i nowości naszemu kultowi dla wojska.

Dlatego nowości, że dotychczas często za dużo było w nastawieniu Polaka do armji czynników powierzchownych i wzruszeń uczuciowych czysto zewnętrznych. Za często odczuwano emocję dla wojska tylko na widok maszerujących oddziałów na paradzie, za często mówiono o „dzielnych naszych wojakach“ jako o jakimś odrębnym, odciętym od społeczeństwa stanie. Od tych nastawień jaskrawo odcina się młode pokolenie polskie, które jest powiązane z armją mocą duchowego pokrewieństwa.

Zasadniczą nutą życia żołnierza i najwyższą wartością jego psychiki jest dążność do wypełnienia obowiązku wobec Narodu i Państwa. Wiele z poświęceń, ofiar i wysiłków, które dla przeciętnego obywatela leżą w sferze dowolności, nabierają dla żołnierza cech obowiązku. Młode pokolenie polskie zgodnie z psychiką ludzi wolnych opiera także swój stosunek do ojczyzny na wewnętrznym odczuciu pierwszeństwa obowiązku wobec Narodu i Państwa. Praca dla wielkości Rzeczypospolitej znajduje się i u nas w dziedzinie obowiązków zasadniczych a nie zależy od dobrej woli jednostki.

Zasadą psychiki żołnierza jest dążność do hierarchicznego ułożenia ludzi i zjawisk. Pęd zaś do

hierarchji jest jednocześnie podstawowym rysem oblicza duchowego młodego pokolenia. Żądamy od dawanych nam poglądów na świat, by ustanawiały hierarchję ludzi i ich postępów, i by realizowały tę hierarchję drogą jednostkowej odpowiedzialności.

Młode pokolenie współczesne posiada dalej pokrewną z duchem żołnierskim, dążność do karności i wolę podporządkowania się dyscyplinie. Jest to prostą konsekwencją pędu do hierarchji; karność i dyscyplina realizują bowiem hierarchję w życiu jednostki i grupy. Dlatego też naszych wojskowych przełożonych słuchamy nie pod zewnętrznym naciskiem sankcyj i kar, ale z głębokiego przeświadczenia o konieczności całkiem naturalnego podporządkowania się ludziom, posiadającym w wiele wyższym niż my stopniu, sztukę wojskowego dowodzenia.

Generał Tonant pisze w swej znakomitej książce o psychice żołnierza p. t. „O powołaniu oficera“, iż naród, armja, państwo, wtedy staną na najwyższym poziomie, gdy zespolą się wewnętrznymi podstawami psychiczne struktury duchowej żołnierza i obywatela.

Młode pokolenie ten warunek może spełnić i spełni—cechy żołnierskie są bowiem zasadą jego oblicza duchowego, ich rozwój zaś ideałem, ku któremu każdy młody Polak dąży.

Takim jest nastawienie świeżo umundurowanego rocznika przyszłych podchorążych i taką jest jego wola, która nastawienie w czyn przemieni.

strzel. z cenz. B. Piasecki

Dęblin—Twierdza

W ŻOŁNIERSKIEJ SZKOLE WYCHOWAWCZEJ

Czołem chłopcy! Temi prostymi żołnierskimi słowami powitał nas Dowódca 21 Dywizji Piech. Górskiej Generał Przeździecki.

Dostaliśmy karabiny. Zwrócono nam uwagę, (na razie jako przyjacielską, gdyż potem otrzymaliśmy odpowiednie instrukcje) że należy je, jako główną część ekwipunku żołnierskiego, odpowiednio szanować.

Z chwilą otrzymania karabinów, zostaliśmy kompletnie wyposażeni, a tem samem staliśmy się żołnierzami. Gdyby ktoś to słowo brał w pełnym znaczeniu, to byłby w błędzie. Staliśmy się żołnierzami, ale tylko w znaczeniu formalnym. Pomijając to, że brak nam odpowiedniego wykształcenia, psy-

chika nasza daleka jest jeszcze od żołnierskiej. Jesteśmy jeszcze pod tym względem „cywilami“.

Dokonują się w nas wprawdzie szybkie i gruntowne przemiany, przeżywamy wprost rewolucję wewnętrzną, jednak nie tak łatwo jest w ciągu kilku tygodni zmienić swoje nieraz od kilku już lat ustalone przekonania. Nadto z wielką jeszcze siłą atrakcyjną upominają się o swe prawa do wspomnień chwile z dopiero co zamkniętego okresu życia. Jeszcze w czasie przerw między zajęciami, względnie podczas czyszczenia butów, lub wielu innych czynności na twarzach podchorążaków, zwłaszcza tych młodszych można zauważyć błogi stan wczuwania się w przeszłość. Z dniem każdym zdą-

rza się to już coraz rzadziej i coraz bardziej żyjemy z nowymi obowiązkami.

Musimy pogodzić się z tem, że nasze prywatne życie pozostało za nami, a w związku z tem trzeba zwrócić uwagę na to, że z życia w większej lub mniejszej mierze indywidualnego, przechodzimy do życia zbiorowego. W tem leży jedna z istotnych różnic zachodzących pomiędzy naszym dotychczasowym życiem prywatnym a obecnym. Wstąpiliśmy w życie zbiorowe i jemu oddać się musimy bez reszty. Z tego punktu widzenia dokonać się musi w naszych umysłach i sercach zasadniczy przewrót. Wszelkie wolnościowe, indywidualistyczne przyzwyczajenia i popędy, muszą zostać przekreślone a w ich miejsce wstąpić musi bardzo szeroko pojęty uniwersalizm.

Będzie to dla nas wszystkich a w każdym razie dla olbrzymiej większości nowością. Trudno zapewne będzie się z tem pogodzić, ale zrozumieć musimy, że takie zbiorowisko tysięcy ludzi jak armja, nie może wykazywać cech tłumu, lecz wprost przeciwnie wykazywać musi tak zbiorową świadomość i wolę jak i entuzjazm. Aby osiągnąć ten sto-



Radjostacja pracuje

Fot. Kubczyński

pień uspołecznienia, wychowawcy nasi zastosoować muszą odpowiednie metody wychowawcze.

Ze względu na to, że w szeregach naszych znajdują się strzelcy o skrajnie różniących się charakterach, metody te będą zapewne dość ostre i stanowcze. Bez względu na to czy będą nam one odpowiadały czy nie, musimy się z nimi pogodzić i ustosunkować do nich pozytywnie. Aby móc z podniesionym czołem szczerzyć się mianem dobrego żołnierza musimy nietylko należycie wykonywać rozkazy naszych przełożonych, lecz podstawą oraz pobudką i bodźcem ich wypełniania ma być zrozumienie ich sensu i celowości. Będzie to miało większe znaczenie, niż nienaganne a ślepe tylko wypełnianie rozkazów.

Armji polskiej potrzebny jest żołnierz nietylko dobrze wyszkolony, lecz dobrze wychowany. Tylko żołnierz obywatel potrafi wypełnić ciężące na nim obowiązki. Miejmy nadzieję, że takich żołnierzy oddadzą Polsce Szkoły Podchorążych w tym roku.

strzel. z cenz. T. Królicki

Cieszyn

PRZEMIANY

Niedawno, każdy z nas chodził po ulicach miasta w nieskazitelnym garniturze ozdobionym modną krawatką, w zgrabnych bucikach i eleganckim kapeluszu. Należeliśmy do tej grupy społeczeństwa, którą dzisiaj w żołnierskim języku nazywamy „cywilami“.

Nieraz podczas przechadzki, zdarzyło nam się widzieć przechodzący oddział żołnierzy, zmęczonych trudem ćwiczeń. Mało nas interesowały twarze tych szarych ludzi, tak podobnych do siebie.

Wtedy tylko zwracaliśmy na nich uwagę gdy maszerowali w paradzie z muzyką.

Ale od pewnego czasu stosunek nasz do tych prostych wydarzeń zmienił się radykalnie. Gdy zaczęła zbliżać się chwila, w której sami mieliśmy się stać żołnierzami, zwróciliśmy uwagę na każdy szczegół, mający styczność z przyszłym odcinkiem naszego życia.

Wreszcie pewnego wrześniowego dnia staliśmy się żołnierzami Rzeczypospolitej. Zamieniliśmy elegancki garnitur na prosty mundur żołnierza, stanęliśmy w szeregu wszyscy sobie równi i podobni. Majątkiem naszym była młodość, siła i zapał, terenem pracy — spełnianie rozkazów.

A jednak pomimo zmienionego wyglądu zewnętrzznego czuliśmy, że brakuje nam czegoś, co stanowi istotę nazwy „żołnierz”. Analizowaliśmy nowe życie — przyglądaliśmy się pierwszym żołnierskim dniom.

I powoli zaczynaliśmy rozumieć. Mocnym akcentem padały słowa skierowane do nas: „Przyśliszcie do wojska potę, aby nauczyć się słuchać”, „Zrozumieliśmy, gdy powiedziano nam: „Chcemy od was szczerości i otwartości, chcemy prostej duszy”.

Zrozumieliśmy, gdy poraz pierwszy oddano nam w rękę karabin i gdy pierwszy trud ćwiczeń zrosił czoła nasze potem.

Wówczas pojęliśmy, że treścią życia żołnierza jest dusza prosta, tak prosta jak jego mundur.

Gniezno strz. z cenz. J. Tułasiewicz

POWTÓRNE ODZYSKANIE WILNA

„Sprawa wileńska w życiu młodego państwa polskiego odegrała bardzo dużą rolę. Była ona rzucona przede mną jako wyrwanie, jako obrona tych ziem, do których Polska mieć mogła pretensje”.

(J. PIŁSUDSKI).

Bitwa Niemeńska była drugim, rozstrzygającym wojnę ciosem, zadany przez Naczelnego Wodza armii bolszewickiej. W końcu września i na początku października 1920 roku wojska polskie z łatwością posuwały się naprzód rozpraszając zdemoralizowane klęską oddziały bolszewickie. Te powodzenia orężne na froncie oraz pomysłny przebieg rokowań pokojowych w Rydze pozwalały spodziewać się szybkiego zawarcia rozejmu.

W tym stanie rzeczy na plan pierwszy wysuwała się sprawa Wilna. Komplikowała ją poważnie umowa w Spaa zawarta w dniu 10 lipca 1920 roku, w momencie silnej ofensywy czerwonych armij, a narzucająca Polsce oddanie Wilna Litwie, oraz układ litewsko-sowiecki z dn. 12 lipca, w którym bolszewicy przyznali Litwinom Wilno, Grodno, Lidę, Mołodeczno. Jasnym było, że teraz sprawy Wilna nie da się rozstrzygnąć inaczej, jak z bronią w ręku. Ze względu na kwestje polityczno-zagraniczne, nie można było rozpocząć kroków wo-



Wilno — miasto Komendanta

jennych przeciwko Litwie. Bliski zaś rozejm na froncie bolszewickim nakazywał konieczność rozstrzygnięcia zagadnienia wileńskiego przed jego zawarciem (co nastąpiło 12.X 1920 r.).

Decyzję w tej sprawie, jak zwykle we wszystkich najważniejszych i najcięższych sprawach, wydać miał Naczelnny Wódz. Operując najszcześniejszą metodą stwarzania faktów dokonanych, postanowił Marszałek zająć Wilno. Ponieważ, ze względów politycznych nie mogły tego uczynić regularne oddziały wojska polskiego, Marszałek zdecydował stworzyć pozory buntu wojskowego ze strony oddziałów posiadających w swym składzie przeważającą ilość żołnierzy pochodzących z Wileńszczyzny. Koncepcja ta uwalniała formalnie Polskę od bezpośredniej odpowiedzialności za akcję wileńską, a jednocześnie dawała należytą gwarancję przesądzenia kwestji Wilna na rzecz Polski.

Mówił o tem Marszałek w swoich wykładach, wygłoszonych w Wilnie 24 i 25 sierpnia

1923 roku: „...Zapadła nawet poza nami decyzja, oddając Wilno Litwie. Z temi decyzjami miałem do czynienia przy mojej nowej pracy. Trzeba było stworzyć nowe fakty dokonane. Natenczas przyszła akcja generała Żeligowskiego, który działał pod moim dowództwem i z mojego wyraźnego polecenia...”

„W tym czasie szczęście wojenne mnie się uśmiechnęło — zdecydowałem odrazu, by stan faktycznego posiadania orężem do Wilna wprowadzić. Wybrałem do tego generała Żeligowskiego, gdyż sam, jako Naczelnik Państwa oraz Naczelnny Wódz Polski, łamać zobowiązań nie byłem w stanie. Wybrałem generała, co do którego byłem najbardziej pewny, że mocą swego charakteru potrafi utrzymać się na należnym poziomie i że poleceniom i żądaniom rządu nie będzie zarówno, jak poleceniom i żądaniom moim, przeciwstawił pracy wojskowej. Udało mi się to znakomicie i stało się przedmiotem mojej dumy. Dumny jestem, że mogłem ustawić wojsko i popchnąć je do czynu tak, jak tego wymagała chwila decydująca...”

Niemal natychmiast po bitwie warszawskiej zaczyna się formować specjalna grupa (ośrodkiem jej była litewsko-białoruska dywizja piechoty), której zadaniem będzie w niedalekiej przyszłości zajęcie Wilna. Oczywiście te posunięcia organizacyjne odbywają się w głębokiej tajemnicy i mało kto może domyślać się ich istotnego celu. Grupa ta, po bitwie niemeńskiej, otrzymuje taki odcinek, który najłatwiej udostępni jej szybki marsz na Wilno. Sąsiednie oddziały polskie tak zostają rozmieszczone, aby ułatwić jej to zadanie i izolować Litwinów od wojsk bolszewickich.

6-go października gen. Żeligowski obejmuje dowództwo swej grupy, zdecydowany do wypełnienia powierzonej mu przez Naczelnego Wodza akcji, mimo wszystko, noszącej nazwę wszelkie formalne cechy „buntu”, zwłaszcza, że dyrektywy Marszałka musiały być na okres wielu najbliższych miesięcy ściśle zakonspirowane. Ten ciężar miana „buntownika” musiał też przez czas pewien dźwigać na swych barkach gen. Żeligowski.

Rankiem 8-go października ruszają oddziały generała Żeligowskiego na Wilno. Oddziały litewskie zostają z łatwością rozproszone nad Mereczanką. W Wilnie, wśród władz litewskich szerzy się

panika. „Dowództwo litewskie oddaje władzę nad miastem pułkownikowi francuskiemu Reboul, w nadziei, że francuzowi uda się powstrzymać marsz Polaków. Dnia 9 października, gdy czołowe oddziały dywizji litewsko-białoruskiej i ochotnicy mjr. Kościakowskiego zbliżają się już do miasta, oficerowie francuscy interwenują u gen. Żeligowskiego. Trudności porozumiewania się i tym razem utrudniają rozmowę, ale generał Żeligowski wskazuje przybyszom pełne entuzjazmu twarze maszerujących żołnierzy i ten wymowny gest narazie wystarcza.

Koło południa dnia tego weszły do miasta oddziały mińskiego pułku piechoty i szwadron ochotniczy z grupy mjr. Kościakowskiego. Wkrótce zaczęły nadciągać dalsze pułki dywizji litewsko-białoruskiej. Przed zmrokiem na czele wileńskiego pułku strzelców wjechał gen. Żeligowski. Na ulicach Wilna witały go nieprzeliczone tłumy rozradowanej ludności. Był to najwymowniejszy plebiscyt ze wszystkich, jakie można sobie wyobrazić”.

Wilno było poraz drugi wolne. Zaczęły się noty, rokowania, międzynarodowe konferencje, aż wreszcie 20 lutego 1922 r. sejm t. zw. Litwy Środkowej uchwalił, że ziemia wileńska stanowi nierozdzieloną część Rzeczypospolitej, która posiada pełne i wyłączne prawo zwierzchności państwowej nad ziemią wileńską. Sejm Rzeczypospolitej uchwałą z dn. 24 marca 1922 r. uchwalił ostatecznie akt

połączenia Wileńszczyzny z pozostałymi ziemiami Polski.

W ten sposób dzięki woli i przewidywaniom Marszałka, ukochane Jego miasto powróciło do Polski. Jak zwykle w swych zmaganiach o Niepodległość i Wielkość Ojczyzny i tym razem Józef Piłsudski nie liczył na wyniki obrad przy zielonym stole konferencyj, lecz polegał na własnej i niezawodnej inicjatywie i sile bagnetu swego żołnierza.

Akcja wileńska z przed lat piętnastu była ostatniem posunięciem orężnym Marszałka w walce o granice Polski i musimy sobie to dobrze uświadomić, gdyby nie Jego w tej sprawie śmiała decyzja, olbrzymi szmat naszych ziem i prastare Wilno nie znajdowałoby się dziś na mapie Rzeczypospolitej.

*) A. Kawałkowski—Z dziejów odbudowy Państwa.



General broni Lucjan Żeligowski

LINJA MORSKIEGO WIDNOKRĘGU

Coraz bardziej zbliża nas dzisiaj do Conrada każdy metr nowowypbudowanego nabrzeża w Gdyni, każdy nit wbijany w kadłub polskiego okrętu. Chciałoby się tu nawet zaryzykować twierdzenie—może tylko napozór brzmiące paradoksalnie,—że właśnie poprzez pozytywną pracę na morzu uczymy się pojmować tego pisarza dokładniej i skuteczniej niż po przez nieuchwytną mgłę czysto literackich rozstrząsań, grzeszących nieraz zupełnym oderwaniem od realnego podłoża, nawet, gdy tem podłożem jest zmienny, wiecznie ruchliwy żywioł morski.

Nie leży bynajmniej w naszych zamiarach podejmowanie na tem miejscu raz jeszcze zasadniczej dyskusji o „polskości” pisarza. Cokolwiekby się w tej kwestji dało powiedzieć—wszystko to będzie niedostateczne. Najlepszą, i możemy stwierdzić, że najboleśniejszą tajemnicę swego życia zabrał ze sobą Conrad do grobu. W swem mężnym sercu, zahartowanym twardo w dwudziestoletniej służbie morskiej, sprawę tę musiał przesądzić. Ślady walk i zmagania wewnętrznych odnajdujemy na kartach jego utworów. Od sytuacji i fragmentów nie budzących, co do swej przejrzystej polskości żadnego wątplenia, aż po mgliste błędzenie po brzegu pola świadomości, aż po najgłębiej skryte tony i echa melodyj, któremi kołysano się za dalekich lat młodości romantyczne serce potomka napoleońskiego oficera i powstańca 1863 roku.

W jednej z najbliższych nam, Polakom, książek wielkiego rodaka, w pełnym głębokiej prostoty i refleksyj godnych mędrca tomie „Ze wspomnień” (*Some Reminiscences*) czytamy:

„...dlaczegóż ja—syn kraju, który ludzie tacy jak mój dziad¹⁾ i jego koledzy orali pługami i zraszali swoją krwią—puściłem się na szerokie morza w pogoni za fantastycznymi potrawami z solonego mięsa i twardych sucharów. Przy najzyczliwszem rozpatrywaniu tej kwestji wydaje mi się ona nierozwiązalną. Niestety. Jestem przekonany, że istnieją ludzie o nieskazitelnej prawości, którzy gotowi są wyszeptać słowo: dezercja. Tak oto smak niewinnych przygód może się stać gorzki dla podniebienia. Oceniając ludzkie postęпки, należy uwzględnić to co jest niewytłumaczalne na tej ziemi, gdzie żadne wytłumaczenie nie bywa ostatecznym. Nigdy nie powinno się rzucać na wiatr oskarżenia o niewierności. Pozory tego kruchego życia są zwodne, jak wszystko co podlega kębowi naszych niedoskonałych zmysłów. Wewnętrzny głos może pozostał

¹⁾ Mowa tu o bracie dziadka pisarza, zasłużonym żołnierzu napoleońskim—Mikołaju Bobrowskim (*St. Sm.*)

lojalny w swych tajnych podszeptach. Wierność dla pewnej tradycji może przetrwać wśród wydarzeń życia zupełnie od pnia oderwanego, a jednak nie sprzeniewierzyć się drodze wykreślonej przez niewytłumaczony popęd“...

Takich słów nie wolno komentować lekkomyślnie. Wymowa ich jest twarda i jasna: za swoje życie — mówi Conrad — biorę pełną odpowiedzialność... To wszystko.

Dwa są utwory, na których kartach pisarz wypowiedział się bezpośrednio, nie wkładając, a raczej nie potrzebując wkładać cząstki siebie w galerję bohaterów, będących niejednokrotnie medjami autora. Pierwsza z książek, to przytoczone już wyżej „Ze wspomnień”, druga — to wydane ostatnio „Zwierciadło morza”. Dwa tomy uzupełniające się poniekąd doskonale, a dostarczające wiele pierwszorzędnych materiałów do poznania Conrada — pisarza i Conrada—człowieka.

Gdyby nie obawa przed zbyt wytartem, spowszedniałym na łamach gazet słowem „aktualne”, to chciałoby się zawołać głośno o „Zwierciadło morza”, jako o książce doprawdy nadpodziw w tej chwili aktualnej. Mówiąc „w tej chwili” mamy na myśli dwa wydarzenia, może nie epokowe, ale pełne swoistej wymowy i pewnego zgoła niebanalnego sensu. A więc powrót „Daru Pomorza” z podróży naokoło świata i pierwszy rejs morski M/S Piłsudski. Mnożąc te dwa kontrasty, przebiegając całą skalę określeń doszlibyśmy może w końcu i do terminu: romantyczność. Tak łatwo go bowiem związać z białą, uskrzydloną zjawą „Daru Pomorza”, niosący w sobie wiew dalekiej romantycznej egzotyki, dalszej niż sonetów krymskich i „Drogi na wschód”. Chciałoby się te statki charakteryzować jak ludzi blizkich nam i drogich.

Stajemy się powoli ludźmi morza; nic co jest z niem związane nie może nam być obojętne. Rozszerzając nasze horyzonty, uczymy się odnajdywać jeden nowy i dotąd nieznan — horyzont morski. I dlatego z każdym dniem jesteśmy w stanie coraz bardziej cenić Conrada i zbliżać do jego twórczości.

W przeżyciach człowieka morza odnajdujemy powoli ślady naszych przeżyć; jego namiętności i troski, wahania i zwycięstwa nie są już „literaturą”, są romantyką realnego życia, które ogarnia nas wszystkich jak potężny przypływ wód morskich. Karmieni imponowalnymi legendami Janów z Kolna odzyskujemy zmysł rzeczywistości, oceniamy wartość realjów żywiołu, który jest nie tylko nieokiełznanym chaosem ale i ładem.

Zaczynamy rozumieć Conrada, gdy we wstępie do „Zwierciadła morza” wyznaje: „poza linią morską widnokręgu świat dla mnie nie istniał, tak jak nie istnieje dla mistyków, którzy chronią się na szczyty gór”.

Książkę tę potraktował pisarz jako bardzo głęboko sięgającą spowiedź; zawarł w niej pełen wzruszenia — hołd „niezniszczalnemu morzu, okrętom, których już niema, i prostym ludziom co swoje przeżyli“.

Wydobył z tych trzech czynników całą poezję prozaicznego — zdawałoby się nieraz — życia morską, — oto zadanie, które podjął pisarz. Najgłębsze wzruszenia liryczne tak Conrad pod powierzchnią faktów. Przedziwna metoda gawędziarstwa, jakieś strzępy oderwanych wspomnień, pokutujących gdzieś na dnie świadomego, wywołują przed nami obraz pełny niezwykłej sugestywności i czaru. Pozornie — to tylko ciąg bezładnych wspomnień, fragmenty życia na morzu, pozbawione akcentów moralizatorstwa refleksje. W każdym słowie Conrada tkwi jednak wewnętrzna pasja człowieka, który musi wypowiedzieć o morzu to wszystko, czego ono go przez długie lata nauczyło.

Na kartach książki, według własnych słów, spowiada się pisarz nie ze swych grzechów, lecz ze swych wzruszeń. Wypowiada więc to wszystko, co tajemniczy przypływ fali wspomnień składa u jego stóp: twarze ludzi, zarysy skrzydlatych żaglowców o kształtach wyśnionych na jawie, zmienność żywiołu i niezmienną człowieka.

Lekka mgła melancholji otacza kontury tych wspomnień. Wszystko to co wywołuje poeta z niepamięci już przeminęło, przeszło, zginęło niepowrotnie za linią morską widnokręgu. To była romantyka żeglarska, strojna w poetycznie zmienną pajęczynę babiego lata na wysokosieżnych masztach żaglowców, których mechanizm — odnosił Conrad wrażenie „sięga do samych gwiazd”.

Conrad przeżył swoje życie na żaglowcach. Stąd płynie jego miłość i uwielbienie dla tych okrętów, wypieranych z dnia na dzień przez olbrzymie mechaniczne kolosy. Romantyczna rycerska

fantazja kresowego szlachcica mogła się wyżywać do woli wśród świstu wicherów, rzucających po morzu łupinę żaglowca. Nie zazdrościł nigdy Conrad potężnym parowcom, sunącym bezpiecznie i pewnie przez wody oceanów. Jedynie na kruchym żaglowcu da się odczuć potężne tchnienie nieskończoności, napełniające serce poety dreszczem niezmiernego zachwytu.

W tej dziwnej książce zawarł Conrad tysiąc blasków i cieni marynarskiego żywota. Obok świetnych epizodów, charakteryzujących marynarzy z którymi pisarz stykał się podczas długoletnich morskich wędrówek, epizodów, które dałyby się rozwinąć w powieści, wsiewa on hojną dłonią mnóstwo uwag fachowych, specjalnych, wychodzących z ust starego kapitana statków handlowych. Właściwie

najgłębszy czar tej książki nie jest chyba dostępny „szczerowi lądowemu”; może on tylko przeczuwać to co, pojmie marynarz jako najdoskonalsze objawienie jedynej w tym wypadku prawdy. Ale siła oddziaływania geniusza Conrada silniejsza jest od tych zapór.

Patrząc na „Dar Pomorza” rozumiemy miłość jaką można żywić do żaglowca, jednego z najpiękniejszych utworów jakież często omyl-

nej ludzkiej ręki. Romantyczne uczucie krzepnie w niewzruszoną stałość. Wzrok nie chce się oderwać od linii morską widnokręgu, kryjącego tajemnice coraz bliższe duszy polskiej.

„Zwierciadło morza” jest książką do której trzeba wracać wielokrotnie. Pełna kapryśnego uroku kompozycja pozornie luźno ze sobą powiązanych szkiców i epizodów nosi jednak znamiona jednolitej całości. Trzeba ją umieć odnaleźć wśród nielicznych wydarzeń, uwag, nagłych zamyśleń i niespodzianych refleksyj. Trzeba tylko poprostu zrozumieć jedną doskonałą całość, w jaką stapia się żywioł morski z noszoną na swych barkach okrętami i ludźmi.

Tę prawdę zaczynamy już dzisiaj rozumieć. A razem z nią i — Josepha Conrada.

pchor. St. Kostka



Pod pełnymi żaglami

S E N

Gdy trudy całodzienne człowieka zwałą z nóg,
I twardą pięścią sen w zmęczoną praśnie głowę,
Przestąpić trzeba snu przedziwny zmienny próg,
I — psiakrew — w ciemną noc zaczynać życie nowe.

Mało masz chłopie marszu, harówki cały dzień,
Mało cię trafia szlag od rana do wieczora,
Tu znowu włącz gdzieś w górę po schodach dziwnych śnieg,
I walcz — bez żadnych szans — z nocną, dlawiącą smogą.

Nie zawsze bywa tak — to musisz przyznać, bracie,
Bo przyjdzie czasem sen — że tylko buzi dać!
Jeden na długi czas, a przecież się oplaci,
Bo choć w marzeniu da — co w dzień nie może dać.

Nie bardzo dawno temu, sen taki miałem właśnie,
Pomyślcie — duże pole — bies jaki czy Pasternik?
Patrzę — nie wierzę oczom — a niech to piorun trzaśnie!
To my stoimy sobie — jak na obrazie, wiernie.

Lecz nagle szyk się łamie i pachnie trawka świeżo.
Leżymy oto w słońcu i każdy na leżaku,
A radio śpiewa piosnkę: „Jak dobrze być żołnierzem”.
A ktoś mówi do szarży: posuń się synu taki.

Obraz się zmienia, mąci i pachnie „Erdal pasta”
Unosi się w powietrzu i sama czyści buty,
Oto jeden po drugim gwóźdź pod podeszwę wrasta,
A lśni tak, jakby buciór ten srebrem był podkuty.

I znowu coś innego jak czarodziejską mocą,
Łóżko się samo ściele i kostka równo składa,
Mówią do ciebie grzecznie i tylko się kłopotą,
Czy masz dość grubo masła i mleczną czekoladę.

Jak długo trwa sen taki? napewno dwie minuty,
Wszystko, co ma smak rajski, mija jak mgnienie oka —
Bo oto z czekolady znowu się rodzą buty,
Chwytam sen, trzymam — próżno! Uleciał tak wysoko...

pchor. M. Hochberg

* * *

Pozatem...

Coś się we mnie śmieje, coś głowę ku górze
podrywa, prze i rozsada żebra, najtajniejszy fibr
drga czemś niezrozumiałem, co jednak dawno
w sobie nosiłem. Idę do wojska. Słońce aż do
bólów głowy zmusza do mrużenia powiek, kurz
misternie szarawym nalotem osiada na czarnych
włóknach cywila. Niskie, odrapane kamienice ma-
łego miasteczka, wąskie drzwi sklepów, pozamy-
kane jeszcze okienice tchną już koszarowością, na
myśl nasuwają się obrazy z lat dziecińczych...

Szare kołyszają się szeregi w takt pieśni, lśni
stał, a szara, żywa skiba idzie gdzieś ku modre-
mu niebu, mknie we własnej kurzawie, a na ulicy
za miastem został się tylko chłopiec samotny.
I oto dziś sam idę z kartą powołania w kieszeni
zameldować moje przybycie. Już niedaleko, już
widzę wśród rozkolebanej fali samego siebie i śpie-
wam, śpiewam z dumą „nie nosim ni srebra ni złota!”

Stary, zielony mundur, buty przywielkie
wetknięto mi w rękę. Zrzęda mi mina, zawaha-
łem się. — Brać ten sprzęt i odmaszerować!

W ramach organizowanych przez Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy
M. S. Wojsk. audycji radiowych nadana będzie w dniu 21 b. m. o godz. 20
26-ta audycja żołnierska pióra podch. rez. St. Smoleńskiego i J. Szpera,
członków Redakcji „Podchorążego”, p. t. „Na kwaterze”, w wykonaniu
zespołu artystów warszawskich.

Jasny obraz przedarły suche rozkazy, zama-
zało tempo pracy koszarowej. Mundur, ten na
wszystkie guziki i sprzączki spięty i pasem aż do
wiercenia w brzuchu ściągnięty mundur ścisnął,
zdtawił we mnie wolną wolę.

— Tak jest — melduję posłusznie — rozkaz —
zamknęły mój słownik. Jaktó — więc to nie jest
tylko piękny rysunek, barwny obraz?! Po poza
tem kryje się zatracenie własnej woli, swego naj-
istotniejszego „ja”?! W pierwszej chwili zbudził
się we mnie nieposkromiony jeszcze cywil, którego
roga samowola pragnęła zerwać się, zbuntować,
wytęmacić się z pod dyscypliny i samemu decydo-
wać o samym sobie. Jednak zwyciężył zdrowy
rozsądek, przewyższyło chwilowo zachwiane po-
czucie obowiązku i cała psychika z oddaniem we-

szła w łożo życia żołnierskiego. I oto czuję, że
krzepnie stalowo we mnie to, co uważałem za
stłumione, że krystalizuje się we mnie właśnie
wola. Jeśli gdzie to właśnie tu, w wojsku trzeba
silnej, hartownej woli, której spaczono w cywilu
pojęcie identyfikowało się z samo-wolą. I tej
właśnie w wojsku ulegać nie wolno. Zrozumiałem
to (jak zapewne każdy z nas) i utapiam się, z ca-
łą istotnością scementowuję się w ten wielki, moc-
ny mur, który niestałym wprawdzie ale trwałym
pasem osnuwa i zamyka Państwo, czuję się drob-
ny w żwirkiem w murze armji. A mur ten musi
być silny, zdrowy od zewnątrz i wewnątrz,

B. Świerczyńska

Dyw. K. P. Skierniewice.

HEJŻE NA KASPROWY!

(ostatni zajazd na Tatrach)

Zamieszczony poniżej artykuł
jest odpowiedzią na drukowany w
Nr. 21 „Podchorążego” uwagi w spr-
awie budowy kolejki linowej na szczyt
Kasprowego w Tatrach. W myśl za-
sad lojalnej dyskusji uważamy, że
sprawę tę należy oświetlić dwustron-
nie. (Red.)

Na wstępie niewielka historia. Nieomal autentyczna
i z rodzaju t. zw. — pouczających.

A więc — posłuchajcie:

„W pięknej stolicy czarownego królestwa Sardanji
najdował się uroczy ogród; założony przez praszczurów
obecnego władcy, pełen miłego cienia wiekowych boababów
i eukaliptusów, ścigał w skwarne dni tłumy mieszkańców
stołecznego grodu, szukających tam zasłużonego odpoczynku
i godziwych a niewinnych rozrywek. Sardańscy emeryci wy-
siadywali na ławeczkach, małe dzieci figlowały w piasku,
a pary zakochanych Sardańczyków krążyły w upojnym mi-
lczeniu wśród gąszczów róż, rododendronów i magnolij.
W pięknym ogrodzie zapomniano o tem, że wokół stolicy
ciągną się piaszczyste i kamieniste pustynie, pełne wiecz-
nego skwaru, kurzu i wycia wygłodniałych hien. W cieniu
drzew było przecież tak miło, tak rozkosznie, tak cicho...
I pewnie ta odwieczna sielanka trwałaby aż po kres pano-
wania władców męskiej Sardanji, gdyby nie przedsięwzięty
„kultutraegerzy”, którzy zjawili się któregoś dnia z dalekiej
Panonji

Przybysze spojrzeli z nieklamana pogardą na chlubę
Sardańczyków: zieloną oazę w środku miasta, i zawołali
z szyderczym uśmiechem: — „O, wielki Allachu, jakżeż ci
dzikusy są głupi! Okropnie, przeokropnie!... Wśród Sardań-
czyków zapanowała konsternacja. A nieublagani mędrcy
z zachodu ciągnęli dalej: „Czy nie widzicie, głupie barany,
że wasz nędzny ogródek jest wstrętą, niepotrzebną dziurą,
pełną pociesznych kwiatów, drzew i trawników, czy nie
widzicie — grzmieli, — że tu nawet pies z kulawą nogą zająć na-
wet nie chce”.

W tem miejscu Sardańscy usiłowali przerwać, ale
cywilizowani Panończycy kazali im poprostu zamknąć twa-
rze, słuchać i nie gadać na bacność. Napróżno emeryci
i dzieci, zakochane pary i uczeni, poeci i artyści, a wresz-
cie cała ludność stolicy gwałtownie protestowała, oczywiście
na mię.

Przybysze z Panonji wyciągnęli zgóry przygotowane
dokumenty i odczytali zgromadzonym, że z dn. 1 b. m. kasuje
się nikomu niepotrzebny ogród, a na jego terenie buduje
wielką ślizgawkę, godną wspaniałej stolicy, potężnej
Sardanji. Oni, t. j. Panończycy, gotowi są całą tę imprezę
odpowiednio przygotować, wzamian za co każdy z miesz-
kańców stolicy ofiarowywać będzie im, t. j. Panończykom,
rocznie jednego wołu, trzy kopy ananasów i tuzin kłów sło-
niowych. W formie specjalnej premji każdy z Sardańczyków
będzie nietylko mógł, ale i musiał bywać co drugi dzień na
ślizgawce, zaopatrzwszy się przedtem, naturalnie, w wy-
śmienitą łyżwy marki „Panon”, przystosowane do przyśru-
bowywania do gołych a czarnych pięt uszczęśliwionych mi-
łośników sportu łyżwiarskiego. W dowód specjalnych wzglę-
dów nie bądą też tubylcy płacić za jednorazowy wstęp na
ślizgawkę ani stu, ani pięćdziesięciu sztuk złota, ale tylko
dwadzieścia pięć, zaś mający zamiar jeździć na jednej nodze
tylko piętnaście... Powiedzieć sami: jaey zacni ludzie z tych
Panończyków?!

Napróżno jednomyślny głos Sardańczyków usiłowal
wytłumaczyć, że po pierwsze — ogród jest im naprawdę bar-
dzo potrzebny do szczęścia, po drugie — nikt z nich, jako
żywo, łyżew dotąd jeszcze na oczy nie widział, no a po
trzecie — w sardańskim skwarze nawet ananasowe lody pije
się przez słomkę jako ciepłą oranżadę, cóż więc dopiero bę-
dzie z lodową taflą ślizgawki?!

Ale Panończycy — jak się już rzekło powyżej — byli
nieublagani. „Ślizgawka będzie i basta! Choćbyście wszy-
scy stanęli na kędzierzawych głowach i machali w upalnym
powietrzu bosem piętami, to my i tak do nich wkrótce
przyśrubujemy znakomite łyżwy marki „Panon”. Ślizgawka
was uszczęśliwi. Bez niej jesteście dzikusami, stojącymi
wtyle daleko za całą Australją i Oceanją. Ślizgawka ścia-
gnie do waszej stolicy tłumy żądnych sensacji turystów

z plemion Om'Buja i Om'Blaga, ślizgawka uzdrowi wasz budżet, ślizgawka zapewni waszym palmom i sykomorom nieznaną przedtem płodność, ślizgawka wniesie spokój i szczęście do waszych ognisk domowych, przy których jasnym świetle będziecie ostrzyli łyżwy marki „Panon”.

A jednak Sardańczycy byli nieprzekonani. I to wszyscy. Gremjalnie i solidarnie.

Ciekawi jesteście jak się skończyła ta afery? Zupełnie prosto. Ponończycy rozpoczęli w szybkim tempie i w zapowiedzianym terminie niszczyć ogród, by na jego miejscu ułożyć ślizgawkę z lodów „Pingwin” (w opakowaniu), w czym pomagało im paru zakonspirowanych szamanów sardańskich, nie zważających na wrzaski i ryki rozpaczy wszystkich mieszkańców doprawdy pełne skwaru i kurzu stolicy.

A może się jeszcze zapytacie w jaki sposób Ponończycy uzyskali poparcie „miarodajnych czynników” niezwykłej Sardanii w prowadzeniu wiekopomnego dzieła uszczęśliwiania mieszkańców stolicy? Najwyczajniej w świecie. Poproście... Ale, przepraszam, to już jest całkiem inna historia, jak zwykły w takich wypadkach mawiać staruszek Kipling. Wobec czego opuśćmy Sardanię jaknajprędzej. Niech ją Allah ma w swej opiece...

Historijka o Sardanii, nieomal autentyczna i z rodzaju t. zw. pouczających, powstała pod bezpośrednim wpływem lektury ostatniego „Podchorążego”. Mam tu na myśli pierwszą część wojenniczego artykułu kol. Iwanickiego, zatytułowanego radośnie a krzykliwie „Na Kasprowy!” Makabryczna impresja na temat tatrzańsko-narciarski była tam zresztą tylko introdukcją do bardziej już fachowych rozważań o smutnej i przykrej aferze, jaką jest bezwzględnie sprawa budowy kolejki linowej na szczyt Kasprowego w Tatrach. Właśnie: przykre i smutne.

Mówić jeszcze raz o kolejce... Czy warto? Bo przecież jeszcze jeden (prawdopodobnie tysięczny) głos w obronie Tatr w niczem nie zmienia faktu, że sprawę tę przesądzone już definitywnie. Kto? co? jak? O tem nie wiemy dobrze. I może szkoda, że entuzjasta kolejki, kol. Iwanicki, operujący chętnie statystyką, cyframi i miljonami złotych, nie zechciał nas wtajemniczyć w te sprawy. Zamiast tego wspominał o „czarnych wiedźmach, co projekt kolejki obstępili już w kołysce...” Prosimy więc pięknie powiedzieć nam coś o jej mamkach i niańkach. Inaczej będziemy gotowi obawiać się, że biedne dziecko będzie miało ciężki żywot, zwłaszcza, że poważnie mu grozi „angielska choroba”, na którą najskuteczniejszym — zdaje się — lekiem są systematyczne dawki odżywczych polskich złotych.

Kolega Iwanicki jest w cywilu sympatycznym i dzielnym inżynierem. Stąd płynie jego zaufanie do rzeczy konkretnych, ujętych w kilowatty i metry, obliczalnych i rentownych.

Zacznijmy więc trzeźwo: bez romantyzmu, estetyzmu i patosu. Fakty i cyfry. Argumenty mniej uchwytnie zostawmy na potem.

Ścisłe dane co do budowy kolejki oparł kol. Iwanicki na artykule inż. Raabego, zamieszczonym ostatnio w „Inżynierze Kolejowym”.

I tu uwaga pierwsza. Wyżej wymieniona praca, która ukazała się w osobnej odblacie, spotkała się z ostrą krytyką specjalistów kartografów (porównaj recenzję w „Ziemi” z września b. r.) w części dotyczącej mapek terenów kolejek górskich. Roi się tam od błędów, nieraz wprost horendalnych.

Kol. I. przyjmuje bezkrytycznie kalkulację frekwencji, podaną przez inż. Raabego. Nad temi cyframi — jeśli się jest zorientowanym w stosunkach tatrzańskich i zakopiańskich — warto się chwilę zastanowić. Podstawą obliczeń jest cyfra 90 tys. przyjazdów na szczyt Kasprowego. Bez przesady: 45 tys. ludzi ma coroku jechać dwukrotnie kolejką płacąc w jedną stronę 3.25 zł.

Ta podstawa kalkulacji traci już zgoła nieinżynierską naiwnością, lub jest poprostu zwykłą mistyfikacją. Ustalmy jedno: poco możnaby udawać się na Kasprowy. A więc —



Marzenia narciarskie.

zimą, aby zjechać na nartach na Halę Gąsienicową czy też do dol. Goryczkowej. (O zjeździe do dol. Cichej nawet mówić nie warto). Ale co robić z latem? Nie ludzimy się co do znalezienia tysiąca amatorów, którzyby przyjechawszy kolejką na szczyt, zechcieli złączyć na piechotę. I to wszystko jedno w którąkolwiek stronę. Zarówno bowiem zejście do dol. Goryczkowej i powrót przez Kalatówki do Kuźnic, jak i zejście na Halę Gąsienicową przez kocioł zw. Suchą Doliną (pod Przełęczą Suchą) czy też łążga po skałkach grani Uhrocia Kasprowego i przeł. Mechy na Karcz-misko, — to wszystko są drogi pozbawione urozmaicenia, nudne i nieuczęszczane latem przez turystów. W żadnym wypadku nie można traktować Kasprowego jako punktu w przejściu z Zakopanego na Halę Gąsienicową, będącą podstawą wyjściową wielu wycieczek. Każdy zorientowany w Tatrach turysta wybierze drogę przez Boczań i Skupniów Uplaz czy Jaworzynkę.

W ten sposób na frekwencję latem trudno liczyć. Zadzajmy sobie teraz pytanie: kiedy i jak preliminowana liczba 90 tys. ludzi zdoła dojechać na szczyt Kasprowego i czy jest to wogóle w praktyce możliwe i wykonalne. Sezon letni trwa w Tatrach mniej więcej od połowy czerwca do połowy września. Zimowy (narciarski) od połowy grudnia do połowy kwietnia. Razem więc — 7 miesięcy. Na podstawie materiałów dotyczących klimatu tatrzańskieg należy przyjąć co najmniej 30 — 40% na zdecydowaną niepogodę (deszcze, burze, mgły, wiaty halne, zadymki śnieżne, mrozy, sznef, lód). Pozostanie więc w najlepszym wypadku ok. 150 dni. Pamiętajmy, że latem nikt się nie będzie kwapił z jazdą na Kasprowy (poza, naturalnie, zupełnie nieliczną garstką ludzi, którzy najprawdopodobniej zjadą spowrotem do Kuźnic). Trzeba więc założyć, że ok. 80 tys. przejazdów przypadłoby — teoretycznie — na 80 dni pogody zimowej. Tysiąc ludzi dziennie! Ależ to przecie jawny absurd, którego nie zmieni nawet ew.

fakt pewnego zmniejszenia tej liczby na korzyść jazd letnich.

W okresie największej frekwencji ilość gości przyjeżdżających autobusami do M. Oka (przejazd 5—6 zł.) nie sięga dziennie 150 osób. Skąd się więc wezmą te tysiące na Kasprowym? Nie wypowiadając się więc co do podanego na 1.850.000 zł. kosztorysu budowy kolejki (oj, coś zamało!) stwierdzić należy kategorycznie, że w naszych warunkach kolejka nie tylko nie będzie interesem dochodowym, ale przedsięwzięciem wybitnie deficytowym. Ciekawe np., że Cześć, budujący obecnie kolejkę linową na Łomnicę, przyznają się otwarcie, że będzie ona przynosiła deficyt przez długie lata. A porównajmy zdolności płatnicze mieszkańców szeregu uzdrowisk leżących po południowej stronie Tatr z ubogimi naogół kieszeniami naszych turystów.

Deficyt kolejki czeskiej, budowanej wyłącznie z funduszy krajowych, pokryje rząd. A u nas? Wszyscy zainteresowani w budowie mileżą jakoś przy tem niewątpliwie zenującem pytaniu.

Kapitał na budowę kolejki ofiarowują (ponoć) dobrodusznymi businessmami angielscy, płonący szczerą miłością do polskich gór, marzący tylko o tem, aby umilić i urozmaicić życie polskiemu turyście. Naprawdę szukałem w artykule kol. I. nazwiska nac. dyr. „British Ropeway Engineering Co. Ltd.” — p. Henri Sheldsa i nac. dyr. „Bancers Trust” — p. I. Bocka. Mili gentlemen angielscy unikają u nas zbędnej reklamy. Mają jej już dosyć na terenie innych koncesyj azjatyckich, afrykańskich czy australijskich. Nawiasem: obaj ci panowie podziwiali Tatry podczas ostatniego „Święta gór”. Dobry kawał, nieprawdaż?

Nie sądzimy jednak, aby synowie dumnego Albionu mieli zamiar pokrywać deficyt z własnej kieszeni. A od czego pomoc usłużnej Sardanii...

Jest bowiem publiczną tajemnicą, że budowa kolejki na Kasprowy jest pierwszym krokiem „cywilizacji Tatr”. Z Kasprowego spełnie kolejka na Halę Gąsienicową, gdzie powstaną wspaniałe kompleksy hotelów, wyposażonych w niezbędne dla turystyki górskiej dancingi i t. d. i t. d. Nad Czarnym Stawem stanie kolonja domków campingowych. A całe Tatry zostaną przerobione w myśl wskazań niezrównanego artykułu „Jak upiększyć Tatry?”, zamieszczonego niegdyś w I tomie „Wierchów” z r. 1923 (kol. I. gorąco polecam lekturę powyższej fachowej impresji).

Przy takim rozbudowaniu być może deficytu nie będzie. Tylko, że jednocześnie nie będzie już i skrawka Tatr polskich zastąpionych przez hotel, dancing i restaurację na wysokości powyżej 1.500 m.

Zakopane jest biedne. Wiemy o tem dobrze. Ale czy wzbogaci je kolejka, czy ona ściągnie rzesze turystów, swoich i obcych, do miasteczka pozbawionego kanalizacji, przyzwyczajonych ulic, dróg, „europejsko” urządzonych hoteli? Kol. I.

wierzy, że tak. Optymista, można powiedzieć. Ale ze mnie jest sceptyk. Sięgam więc do mojej biblioteczki tatrzańskiej nie po to, by wyciągnąć „poetyckie bujanie o Tatrach” jakichś Tetmajerów, Witkiewiczów czy innych Nowickich, — ale aby raz jeszcze przejrzeć kapitalną pracę, dotyczącą zagadnień rozwoju Tatr i podtatrzańskiej stolicy. Mówię tu o liczącym ok. 400 str. tomie protokołu ankiety „Sprawy Tatr, rozwój Podhala i Zakopanego”, odbytej w r. 1929 z inicjatywy Ministerstwa Robót Publicznych, wydane nakładem tegoż Min. w r. 1930.

Czytam tysiące wniosków i dezyderatów. Wszystkie celowe, mądre, opracowane przez najwybitniejszych znawców zagadnień, ujmowanych pod kątem szczerzej troski o rozwój Tatr i Zakopanego. A o kolejce nigdzie ani słowa. Nikt nawet o niej nie pisał. Ha, tempora mutantur... Wielkie są widać wpływy cywilizowanej Panonji w dzikiej Sardanii, a może raczej paru sardańskich starszych szamanów z wydziału dróg pustynnych... ale cicho, cyt! Cyt...

Nie mogę się powstrzymać, aby nie przytoczyć tu części odpowiedzi znakomitego alpinisty Franciszka Niberla na ankietę w sprawie kolejek górskich:

„...Moje, rzecz jasna „ad acta” odłożone żądanie brzmi: żadnej kolei górskiej.

Moje życzenie: aby istniejące koleje, zabłysnąwszy życiem jętki-jednodniówki, przestały się „rentować”; wówczas zamilkną odrazu owe nieszczerze głosy, co wysuwają na pierwszy plan znanego „chorego, którego oczy raz jeszcze chcą ujrzyć piękno gór”, wówczas przycichnie paplanina o „niezaprzeczonych wartościach, które winny się stać dobrem zbiorowem całego narodu”. O to przecież owym chwalcom kolei górskich weale nie idzie; poza całą propagandą kolei szczytowych kryje się w istocie płytka żądza zarobku.

„Hugh! Powiedziałem!” — odezwał się Winnetou i zapalił fajkę wojenną. A inni w radzie uśmiechali się poważnie.

Po tych paru uwagach mogłaby gorliwość neofitów kolejkowych nieco przygasnąć. Na argumenty z dziedziny irracjonalnych wartości Tatr i przyrody górskiej niema już, niestety, miejsca. Ale, kol. Iwanicki, bardzo chętnie pogaworzyłbym z Wami na te tematy. Może się tak za parę miesięcy spotkamy w Tatrach na nartach. Proponuję — przy ostatnim szalasiu na Halę Goryczkowej Wyżniej. Popatrzymy sobie wtedy obaj, skąpani w potokach tatrzańskiego słońca, na trasę przyszłej kolejki, zaciągniemy się górskiem powietrzem, a gdy zimową ciszę przerwie echo zgiełku budowniczych, może zdania nasze nie będą znowu tak bardzo różne. A ja — zgóry lojalnie zaznaczam — swojego napewno nie zmienię...

pchor. rez. St. Smoleński

NA FRONCIE SPORTOWYM

(Gawęda)

W bardzo już niedalekiej przyszłości rozkołysze się, rozdzwięczy olimpijski dzwon śpizowy — na wschód, zachód, północ i południe, rzuci z Berlina wieść, że nadszedł czas święta, że przyszedł dzień uroczysty, dzień kultu ciała i jego sprawności, siły, charakteru, ambicji. I ożywi się stadjon olimpijski, rozbarwi się tęczą barw narodowych, rozkrzyczy się gwarem entuzjazmu, głosem potężnych megafonów; popłyną w świat wieści o zwycięstwach i klęskach z pola walki sportowej — brzmieć będą radośnie hymny

narodowe, zatrzepoczą na masztach kolory zwycięzców, wieszcząc światu całemu tryumf olimpijskich bohaterów...

Dzień kultu ciała, dzień charakteru i ambicji. Zwycięstwa olimpijskie — to sprawdzian wartości całego narodu, jego zdrowia i życiowej twardości, jego cech charakteru, wartości duchowych. Nie dlatego, by odnieść zwycięstwo — ale, by przez porównanie zdać sobie sprawę z własnej wartości — wysyłają narody swych wybranych synów na stadjon olimpijski.



My, Polacy, również poślemy w bój olimpijski naszą drużynę. Zwycięstwa — to rzecz wtórnego znaczenia; chcemy wchodzić przedewszystkiem, co jesteśmy wari w porównaniu z Niemcami, Anglikami, Francuzami, w porównaniu z twardym ludem Skandynawów, z pełnami energii synami Stanów Zjednoczonych, z kolorowymi Japończykami, z wychowanymi w skwarze podzwrotnikowego słońca Afrykanami, Australijczykami. Chcemy wiedzieć, czy nasze mazowieckie piaski, żyzne poznańskie równiny, zalesione kresy wschodnie i szumiące halnym wiatrem podkarpacie hodują Polsce dzielnych obrońców, synów o silnym ciele i tegim charakterze. Zwycięstwa — to rzecz raczej wtórna.

Nigdy jeszcze, od czasu wznowienia tradycji starożytnych olimpiad, nie mieliśmy tak przychylnych warunków do zaprezentowania świata swych walorów, jak właśnie na olimpiadzie berlińskiej. Paryż, Amsterdam — to było dla nas jeszcze zawcześnie; zajęci byliśmy budową swej państwowości, mieliśmy tysiące spraw ważniejszych, niż egzamin olimpijski, Los Angeles — to znów było zbyt od nas daleko i jak na nasze kieszenie, zbyt kosztownie. Ale teraz — nie będziemy krępowani ani koniecznością poświęcenia wszystkich sił wewnętrznemu wzmacnianiu się, ani też Berlin nie leży za oceanem, ani znów koszt wysłania licznej drużyny olimpijskiej nie przekroczy naszych możliwości finansowych. Co więcej, jako państwo wchodzimy na rynek światowy, jako potęga; zaczynamy na forum międzynarodowym odgrywać coraz poważniejszą rolę — i potrzebny nam jest jeszcze akcent, kropka nad „i”, uzupełnienie naszej pozycji wśród narodów świata przez wykazanie się mocą ducha i ciała na boiskach i bieżniach europejskich.

Wykazanie się mocą ducha i ciała w szrankach turnieju olimpijskiego... Nie przesadzając zgóry sprawy, spojrzmy krytycznie dookoła siebie, rozpatrzmy się w tych wartościach, jakie będziemy chcieli przedstawić w Berlinie.

Lekka atletyka — to królowa sportów. Walki lekkoatletyczne są najbardziej efektywne, a zwycięstwa najbardziej cenione. Jaka jest nasza obecna sytuacja w tej dziedzinie sportu?

Przyjmijmy za podstawę rozważań najnowszą reprezentację Polski w lekkiej atletyce na mecz z Węgrami — z niewielkimi bowiem wyjątkami znajdziemy w niej wszystkich naszych przyszłych olimpijczyków w lekkiej atletyce.

A więc panowie, biegi krótkie. Tęsiorowski, Krawczyk, a poza tem, Koźlicki, Szymański, „Mar”, Zasłona, czy Radwański, a ze starszych Sikorski i Trojanowski II — mogą osiągnąć 10'9, może nawet w dobrych warunkach 10'8 na setkę. Ale zwycięscy olimpijscy będą biegać 10'3 — i mało jest prawdopodobne, byśmy z naszymi czasami mogli odebrać szybkim Niemcom, czy Amerykanom wieniec olimpijski, byśmy mogli odegrać w Berlinie inną rolę, niż „robienie tłoku” na bieżni. Jeszcze gorzej jest z 200-metrowką. Biniakowski z czasem 22'4 odbiega wprawdzie daleko od krajowych konkurentów (Downarowicz, Tuziak 22'8) ale nie zbliża się do klasy światowej, gdzie mówi się o czasach poniżej 21'0. Kucharski (49'8), Biniakowski (50'1), Koźlicki, Śliwak — to cała nasza stawka czterystometrowców, nie groźna zupełnie w konkurencji międzynarodowej. Naszym bezwątpienia silnym i jasnym punktem w biegach średnich jest Kucharski z czasem 1:51'6 na 800 m. Wprawdzie brak mu do rekordu światowego 1'8 sek., lecz w tym roku nikt na świecie lepszego wyniku na 800 m. nie osiągnął a ze wszystkich pojedynków Kucharski wyszedł zwycięsko. Należy się tylko obawiać, by się Kucharskiemu w głowie zlekka na temat jego możliwości nie pokręciło, bo wtedy skończy się bardzo prędko, a już „głuche wieści chodzą między ludem...”. Ale nie uprzedzajmy faktów i nie bawmy się w plotki. Spodziewamy się, że Kucharski zrozumie odpowiedzialność, jaka na nim ciąży i weźmie się krótko do siebie. W konkurencji 800 m. poza Kucharskim nie widzimy „zaplecza”. Jeszcze gorzej jest w biegu 1500 m. gdzie około dwudziestu biegaczy na świecie osiągnęło w r. b. czas poniżej 4 minut, podczas gdy my możemy się wylegitymować czasami 4:04'8, 4:07, 4:07'4 (Kucharski, Noji, Orłowski). Biegi długie — to konkurencje dla nas zgóry stracone. Noji, Fiałka, Duplicki, Wiśniewski, musieliby się dużo jeszcze nauczyć, by móc na stadionie olimpijskim wystąpić i przegrać z honorem. Plotki nie są u nas bardzo popularną konkurencją; osiągnięte w tym roku czasy 15'2 i 15'3 na 100 m. z płótkami (Niemięc i Haspel), oraz 56 i 57 sek. na 400 m. z płótkami (Maszewski, Kostrzewski) nie wytrzymują konkurencji międzynarodowej. O sztafetach mówić niewarto — sytuacja jest beznadziejna. To samo dotyczy 1000 i dysku. W skokach wwyż i w dal nie przedstawiamy wielkiej klasy, ale przy dobrych chęciach i solidnym treningu, pod wpływem gorączki walki olimpijskiej Pławczyk, Niemięc, Gierutto lub Chmiel mogą zbliżyć się do 2 m., a Hoffman, Pławczyk, czy Sikorski do 7,50 m., co będzie konieczne, by znaleźć się w pierwszej olimpijskiej 10-ce. Sznajder, Morończyk i Klemczak w tyczce, o ile albo utrzymają formę, albo ją podciągną do poziomu 4.10 — 4.50 — mogą liczyć na miejsce jeszcze lepsze, niż skoczkowie wwyż, czy w dal. Luckhaus a może i Hoffman w trójskoku po dobrym treningu zrobią trochę kłopotu Japończykom i uplasować się mogą w pierwszej piątce olimpijskiej. Zakładając, że 15.635 i 15.58 nie są ostatnim wyrazem możliwości Tilgnera i Heljasza, że obaj oni są w stanie przekroczyć 16 m. w pchnięciu kulą — liczyć możemy na całkiem niezłe miejsca w tej konkurencji. W dziesięcioboju mamy mało zawodników, ale duże szanse: Pławczyk, Siedlecki, Lokajski, a może Gierutto mogą poważnie liczyć na sukcesy olimpijskie; trzeba tylko trochę „wziąć ich do galopu” — ostatnie bowiem mistrzostwa Polski w tej konkurencji były jednym wielkim skandalem. Lokajski w oszczepie ma w r. b. trzecie miejsce na świecie; ponieważ 68.92 m. nie jest granicą możliwości ani Lokajskiego, ani Turczyka — możemy liczyć, iż w oszczepie na olimpiadzie nie będziemy out sider'ami. Smutny jest fakt,

że poza temi dwoma nazwiskami nikogo więcej na tym horyzoncie dostrzec nie można.

Wśród kobiet sytuacja jest katastrofalna. Walasiewiczówna — to pewne nazwisko, chociaż jej pozycja jest coraz poważniej atakowana przez młodą Helen Stephens. Drugie nazwisko — to Wajsówna, która, należy mieć nadzieję, otrząśnie się z obecnej depresji i poważnie pomyśli o walce z Mauerner. Trzecie nazwisko — to może Kwaśniewska w oszczepie i trójboju. Ale to wszystko.

Zróbmy przegląd innych dziedzin naszego sportu.

Pływanie nie ma żadnych szans na olimpiadzie. Najlepszy polski wynik na rynku międzynarodowym, sztafeta 4 x 200 stylem dowolnym, osiągnęła teoretycznie 9-ty wynik na świecie. O wynikach indywidualnych nie warto wspominać, a skoki do wody są naszą stałą bolączką.

O boksie dużo się mówi ostatnio w Polsce. Odnieśliśmy kilka względnych sukcesów międzynarodowych, mamy apetyt na czołowe miejsce w Europie. Właściwie jednak nasza ósemka, rozbita na szanse poszczególnych zawodników, nie daje jaknajlepszych perspektyw w przyszłości. I nie się tu na lepsze nie zmieni — gdyż w boksie nie wypływają nagle talenty; sukcesy na ringu poprzedzić muszą długie lata solidnej pracy i nabranie rutyny w licznych spotkaniach.

Rozpatrując stan faktyczny, możemy z biedą typować z naszej dwóch kandydatów na olimpijczyków. Są to: Rotholc w wadze muszej i Chmielewski w wadze średniej, prztem pozycja Rotholca jest o wiele pewniejsza. Szkoda tylko, że Rotholc zaczyna się ostatnio zbyt „cenić” — ta droga jest o tyle niebezpieczna, że szybko może zawodnika doprowadzić do katastrofy. Chmielewski natomiast o tyle może być poważnie traktowany, że poza innymi walorami, potrafi poważnie pracować: ta solidność może go daleko zaprowadzić. Żalować należy utraconego ostatnio Majchrzyckiego, który — nie przesadzajmy sprawy — albo jest ofiarą „ważności” panów „działaczy” od zielonego stolika, albo też ponosi konsekwencje własnej „ważności” i słabości charakteru. Tak, czy inaczej, został utracony. Krzemiński w wadze koguciej jest jeszcze zbyt młodym zawodnikiem, by liczyć na odegranie poważnej roli w walkach olimpijskich. Przydałoby mu się jeszcze ze dwadzieścia walk w stawce międzynarodowej dla otrząśnięcia się i nabrania rutyny, podciągnięcia techniki. Polus w piórkowej nie zdaje się mieć wielkich szans. Ten niewątpliwie bardzo utalentowany zawodnik jest stanowczo marnowany: walczy tylko „od wielkiego dzwonu” i dlatego musi się szybko skończyć. Nie trzeba zapominać, że bokser więcej się uczy na jednym dobrym meczu, niż na długiej serii treningów. Kajnar i Sipiński w wadze lekkiej — nie są nadzwyczajni. Sipiński ostatnio nie szczególnego nie pokazuje, Kajnar, zdaje się, jeszcze się w wadze lekkiej dostatecznie nie zaaklimatyzował. Waga półśrednia nie może być brana pod uwagę — czego dowiódł mecz Misiurewicza w ramach spotkania Polska — Niemcy. W półciężkiej — pusto, bo ani Doroba, ani Szymura, ani Ozarek nie mogą być kandydatami do tytułu mistrza olimpijskiego. Całkiem beznadziejnie jest w wadze ciężkiej, gdzie właściwie niema nikogo, mającego pojęcie o boksie, poza Piłatem. Ale Piłat — tak często jest „niedysponowany” a jego — delikatnie mówiąc — „brak serca do walki” tak powszechnie jest znany, że wogóle nie wróżymy mu poważnej kariery bokserskiej.

Nasi kolarze — torowcy nie powinni pokazywać się na olimpiadzie, dopóki czegoś się nie nauczą. Szosowcy natomiast — bądźmy szczerzy — posiadają zbyt mało walorów tak fizycznych, jak i tych „innych”, by mogli poważnie się liczyć w walce. Niestety, nasi kolarze szosowcy — albo są „primadonnami” z kiepskiej operetki, albo też zgoła sobie

nieuczciwie postępują; dowodem tu niech będzie dyskwalifikacja Kiełbasy na wyścigu Warszawa — Berlin, sprawa Oleckiego i Lipińskiego z przed dwu lat, stałe podejrzenia o ukryte zawodostwo i t. d. Pewne jest, że w kolarskiej rodzinie coś nieszczególnie się wie dzie i że w tem towarzystwie olimpijczyków napewno nie znajdziemy, chyba, że ktoś weźmie do ręki kawałek zdrowego kija i odbuduje kolarskie „morale”.

Jeśli chodzi o jeździectwo, to ostatnie zawody w Łazienkach i ostatnie miejsce polskiej ekipy w walce o puchar narodów, w walce na własnym terenie, były przekreśleniem naszych olimpijskich możliwości. Była to klęska, której nie uratuje piękny indywidualny wyczyn mjr. Lewickiego. Ze smutkiem oglądamy się w przeszłość, wspominamy czasy Römmelów, Szoslandów, Antoniewiczów, Starnawskich... A może jeszcze się coś poprawi i nasi jeźdźcy „wezmą na kiel?”

W strzelectwie sportowym nasza sytuacja nie jest dobra, ale nie jest również zła. Zajęliśmy ostatnio trzecie miejsce drużynowo w silnej konkurencji międzynarodowej w Rzymie. Spodziewać się mamy prawo, że pp. Rutecki, Wrzosek, Sawicki, Kiszkurko i inni nie sprawią nam zawodu i na olimpiadzie znajdą się wśród czołowych strzelców świata. Trudniej natomiast jest z łucznictwem; niedawno jeszcze mieliśmy prawo uważać ten rodzaj sportu za naszą silną pozycję, po ostatniej jednak „wyprawie” do Londynu nasze olimpijskie nadzieje na łucznictwo stanowczo się rozwiały.

O sportach zimowych, oraz o sportach zespołowych (gry sportowe, piłkarstwo etc.) pogawędzimy w następnym numerze.

K.



LIST Z WOJSKA

MALEŃKA MOJA!

Piszę ten list, choć nie zostanie on wysłany — nie wiem nawet gdzie jesteś — może dzieli nas dziś oceany, a kartka papieru, na której znać się myśli o Tobie w gwieździstą noc październikową, zblednie wraz z szarzącym świtem.

Pamiętasz ten cudny październik — pociąg rozrywał stalową piersią czerń nocy, na niebie iskrzyły się djamentowemi błyskami gwiazdy, a w ciichym przedziale pociągu lśniły mi cudne, uśmiechnięte Twe oczy. Od tego czasu szły one ze mną i idą zawsze, tak jak w następne dni naszych spotkań. Pamiętasz, że zawsze myślałaś o mnie, jak o dziecku — nawet wtedy, kiedy już kończyłem medycynę i wybierałem się do wojska.

Dziś jestem w wojsku. Już do wszystkich najbliższych mi pisałem — pozostał mi tylko list do Ciebie.

Każdego ranka wyrusza nasza kompanja na plac ćwiczeń. Ponad naszymi mundurami połyskują w blaskach wschodu lufy karabinów. Pod nogami ściele się jesienny dywan liści — pamiętasz? — jak na Plantach krakowskich, kiedy to ciemna zielen żółknie, czerwienieje, a wreszcie opada złotym deszczem, tkając na murawie cudny, ale jakże smutny kilim.

Szeleszczą liście pod ciężkimi żołnierskimi butami, a po rosie idzie rytmiczna, z młodzieńczych piersi wybuchać pieśń.

Plac ćwiczeń, chwytty bronią, szkoła strzelca i trójkąt błędów — wszystko to stwarza nowe warunki życia, w których człowiek zatracca się, jako jednostka, a staje się częścią złożonego mechanizmu, mającego spełniać określone zadanie.

Lecz kiedy z karabinem padam i czuję jesien-

ny zapach ziemi, stają mi znów przed oczami pojęzyczne pnienie sosen puszczy Niepołomickiej i wspomnienia słonecznych dni, kiedy siedzieliśmy w tych bezkresnych lasach, a z głębi puszczy szła organowa muzyka wiatru i oszalałymi, cudnymi zapachami ziemi.

Ale dziś nie usłyszę Twych ciepłych, kochanych słów — dziś padają ostre i krótkie rozkazy i szcękają mi w uszach metalicznym zgrzytem zamki karabinowe.

Na strzelnicy już padają rekordy — koledzy „wybijają“ dziesiątki celnymi strzałami ku zadowoleniu instruktorów i Pana Porucznika, naszego wodza strzeleckiego.

Pada moje nazwisko — podchodzę do stanowiska, ładuję karabin i wolno, spokojnie składam się — strzał — głos od tarczy: dziesiątka; drugi strzał — siódemka — jakiś dziwny ogarnia mnie niepokój — ostatni trzeci nabój — wolno unosi się muszka karabinu i staje pośrodku szczyrbiny, tuż poniżej czarnego w oddali celu — nagle na trawie kulochronu zjawia się Twoja twarz i patrzą we mnie cudne Twe, śmiejące się oczy. Zimny pot występuje mi na czole, zamykam oczy, a palec wskazujący kuczowo szarpie za język spustowy. Po strzale szybko odszedłem od stanowiska, serce waliło mi w piersiach i tylko zdala usłyszałem głos: trzeciej kuli niema na tarczy.

Od naszej cudnej jesieni minęło już wiele lat, ale Ty ciągle trwasz w mem sercu i stajesz się dalekim, cudnym, moim snem o szczęściu.

Tak bardzo chciałbym Cię zobaczyć raz jeszcze, spotkać się z cudnym Twym uśmiechem — chciałbym — lecz wiem, że się to nigdy nie stanie tak, jak nigdy nie przeczytasz tego listu, który piszę do Ciebie.

S. P. Rez. Sanit. Szereg. z cen. E. PANKIEWICZ

Z ŻYCIA SZKOŁ

PIERWSZE KROKI...

Na Łobzowie ruch. Stary wielki gmach koszar im Kazimierza Wielkiego jak żarłoczny moloch połknął prawie 200 „rekrutów z cenzusem“ i więzi ich bezlitośnie w swym wnętrzu. Ma ich przetrwać na żołnierzy. Co chwila wypływa całą plejadę na plac zroszony ciężkim potem i łzami, a zwany placem ćwiczeń, gdzie biedna „ofiara z cenzusem“ wprawia się do zasadniczych podstaw musztry. Komenda brzmi tu ostro, zdecydowanie, jak trzask z bicia. A z wykonaniem różnie bywa. Przeważnie jednak zamiast jednolitego uderzenia nóg, czy karabinów słyszy się bezładne grzmoty mieszane z soczystym „psiakrew“, wystrzelającym raz z szeregow raz spośród instruktorów — ludzi, których cierpliwość jest godna zastanowienia. Nie wyklucza ona coprawda rzućcia rozkazów w charakterze: padnij, na d... (oczywiście na ziemię) siad, lub: sto kroków naprzód biegiem marsz! Pluton pada, siada zrywa się, dźwigając na poślach warstwę

spasowanego błota i pędzi w ciężkim artyleryjskim tempie, aż zatrzymuje się przed parkanem, oddychając ciężko. Ten parkan, to nasz jerozolimski „mur płaczu“. Stoi obojętny, zimny, niewzruszony potem, jaki ścieka po twarzach. Tak zresztą stał i w zeszłym roku. Bo przecież myśmy nie pierwszy. Co rok dzieje się to samo i podobno zawsze wychodzi na dobrze. To stara, ale zawsze nowa historia — pocieszamy się i na komendę „wróć“ pędzimy spowrotem z lżejszym nieco sercem. Otaczające plac stuletnie lipy patrzą z politowaniem na beznadziejną kompromitację mgr-a praw, który na terenie U. J. był pono pierwszą sławą, a tu ku uciesze rekruckiej gawiedzi wygląda w postawie zasadniczej, jak skręcony niemiłosiernie paragraf. „Tempora mutantur“ wzdycha „ofiara z cenzusem“, wspominając dawne triumfy, które zostały gdzieś za bramą koszar.

Dzień płynie po dniu. Musztra, ćwiczenia strzeckie,

obiad, po obiedzie wykłady przeplatane musztrą, lub „wychowaniem fizycznym“. To ostatnie ma wiele atrakcyj. Dzięki pomysłowości p.p. instruktorów urządzamy takie skomplikowane zabawy, o których nam „w cywilu“ nawet się nie śniło. Ot, taki „niedźwiedź“. Zakreślone koło. Ma ono wyobrażać legowisko niedźwiedzia. Drobna, czerniawa i wylek-niona postać z wygoloną idealnie głową ma imitować tę dziką, kudłatą bestję. Jest to jednak bestja zmodernizowana. Bo kto słyszał o uczciwym niedźwiedziu, któryby skakał na jednej nodze. A ten musi to czynić, gdy wychyli się za obręb koła, bo w przeciwnym razie zdobycz, którą ma schytać i pożreć z godnym podziwu spokojem zaczyna go okładać pasem. Poczciwy zwierz, szcycący się powagą i taktem zwiewa w śmiesznych podrygach, rycząc ze strachu i bólu i trzymając się za obite poślady. A gawiedź ryczy, ale — ze śmiechu. Ot zwykła historia. Pokrzywdzony płacze, a krzywdzący cieszy się.

Ale żołnierzami prawie już jesteśmy. Przyczynił się do tego nowy związek, jaki zawarliśmy. Małżeństwo. I to z kim? Z bronią. Każdy z nas otrzymał „dziewicę nieużywaną jeszcze“. Znaczy to, że karabiny nasze wyszły prosto z fabryki, i nie wstępując nigdzie po drodze, trafiły do nas. Tu „przy boku ukochanego“ mają przez rok czasu zażywać pełnego szczęścia, wyrażającego się w czulej opiece, jaką je musimy otaczać. Mowa tu oczywiście o dokładnym oczyszczeniu przedewszystkiem lufy, dalej zamka, no i całego karabinu. Nie każdy zresztą karabin jest dziewczicą w pełnym tego słowa znaczeniu. „Dziewica“ bowiem niżej podpisanego nosi datę urodzenia 1906 r. (miesiąc, dzień i wogóle bliższe szczegóły tego ważnego faktu — niepodane) i zdradza ślady wielokrotnego używania. Ale to wszystko furda. Trzyma się dobrze mimo 29 lat i miłości jeszcze warta.

Podkreślam raz jeszcze, że do „żołnierki“ bierzemy się naprawdę z zapalem. Wystarczy do zilustrowania powyższego taki fakt. Wracamy z Pasternika. (Rozległe pola za Krakowem, teren ćwiczeń na szerszą skalę). Przerabiamy tam „maskowanie się w terenie“, (mówiąc prościej: zabawa w chowanego, czy ciuciubabkę, jak kto chce). Zawija się się rozmowa na temat dokonanych ćwiczeń. Jakiś czarno nastrojony śledziennik kpi z drużyny, że źle się skryła.

— Nie mieliście ni zasłony, ni ochrony. Gdyby nieprzyjaciel was zaatakował w takiej pozycji, to dwie trzecie wystrzelałby, jedną trzecią poranił, a jedna trzecia zostałaby może i walczyła w wypadku, gdyby nie uciekła.

Rozpoczynamy pracę z humorem i zapalem. Czy wytrwamy w nim do końca?

Zobaczymy.

Kraków

strz. cen. B. Król



Pierwszy przegląd Podchorążówki Częstochowskiej



Pierwsze godziny w wojsku

foto. Bielenica

FAKTOMONTAŻ Z ŻYCIA D.K.P.R.P. W SKIERNIEWICACH

Dziwny nastrój smutku i liryzmu, gdy zobaczyłem (jak na pobojowisku) zwycięzcę fryzjera, depeczęcego z pogardą chlubę naszych głów — włosy — kasztanowe, blond, krucze, te, które gładziła często z troskliwością nasza dłoń, które gładziła z miłem dla nas westchnieniem ta nasza jedyna Danuśka, Zocha czy Czesia.

Z różnobarwnego tłumy wyłania się powoli jednolity typ żołnierza — mundur robi swoje — jesteśmy podobni wobec praw naszych i obowiązków.

Staliśmy się żołnierzami.

A czy pamiętacie obrazki z pierwszego dnia pobytu w wojsku?

Pamiętacie, jak przy rozdawaniu mundurów jakiś „konus“ z trudnością „wchodzi“ w spodnie „cokolwiek“ na niego za duże, lub jak ten Janek z trzeciego plutonu skarży się swemu sierżantowi na buty i otrzymuje odpowiedź, że buty zupełnie dobre, tylko noża za duże?! A inny znów z lubością patrzy na łóżko, które wkrótce stanie się terenem operacyjnym lotnika i źródłem udreki!

I ten pierwszy apel — apel młodych żołnierzy, wśród rozmów nieskoordynowanych jeszcze charakterów.

I moc nowych, nieznanych jeszcze twarzy i te pierwsze rozmowy o tem skąd tu? Dlaczego? I kiedy dostaniemy urlop.

I dźwięk pierwszego capstrzyku, który kończy dzień żołnierza — dzień jeszcze nam nieznaną — jak nieznaną każdemu człowiekowi tajemnicę pełne jutro.

Jak co roku wyszła w pole niezdarna gromada rekrutów — taka przebrana za żołnierzy „cywil-banda“...

Jak co roku zaczęło się nieśmiertelne, napoleońskie „fasowanie“, przez cały długi tydzień (mundury ćwiczebne, mundury wyjściowe, buty ćwiczebne, buty wyjściowe).

Jak co roku zaczęli stawiać swe pierwsze niezdarne kroki młodzi patrjoci, którzy zaczęli się dopiero uczyć służby Ojczyźnie...

A młode, chętne, zdrowe nogi śląskich Froncków i Zeflików deptały mozolnie mazurskie piaski — nadwiślańskie, szerokie... „Pierroński pióch“!

A potem przyszło bujne, szerokie koszarowe życie.

Bieg — tempo, tempo — bieg — „żołnierz składa się z pary nóg i karabinu“.

Aż przyszedł dzień uroczysty, gdy drzące, nieporadne jeszcze dłonie, pierwszy raz dotknęły karabinu: — „od dnia dzisiejszego jesteście żołnierzami“!

Lśniące, pachnące wazeliną i magazynem karabiny, wyprężyli się zwartym szeregiem na stojakach, nastroszyli się i wyniosły dumnym błyskiem najeżonych bagnetów a młode śląskie Gustliki i krakowskie Jurki poczuły nagle, że to jest właśnie to „coś“, co — jak mówi Berent „nasz byt usprawiedliwia“, że twarde dotknięcie tych stalowych symbolów państwa daje im wielkie miano obywateli.

strz. z cenz. K. Duszyński i J. Krommenau

*
*
*

Na pierwszy ogień — S. O. S. — poszła zupa, której smaku, składu ani pochodzenia nie dałoby się określić. Bo i jakże. Wydelikaczone podniebienie cywila, zetknawszy się z tem „obcym ciałem“, kureczy się i cierpienie. Język, „szef“ jadaczki, skręca się, mlaska głucho, zrezygnowawszy wreszcie ze swych codziennych, jakże przyjemnych czynności podaje tę zlewkę, wątpliwej kondycji w niższe rejony, które należałoby koniecznie sprzątać po podobnych ekscesach.

Następnie mięso. Tu sprawy stoją nieco lepiej niż w przypadku pierwszym. Czworokątny, widocznie również objęty wszechwładnym pojęciem kostki, kawałek mięsa, wygląda dość apetycznie. Wgryzam się z całym zapalem we włókna mięsowa, ale już następny ruch uzębienia jest wyraźnie defenzywny. Szarpnięcie niezbednikiem z jednej strony wyciągam zęby z tych ljan mięsnych, rozczarowany niemile. Zjadam ostatecznie, żując po kilkanaście razy każdy kęs.

Mięso przesuwa się wolniutko ugniata ścianki przewodu, zatrzymuje się, a pchnięte nanowo zaczerpniętem powietrzem wtłacza się nieznacznie w żołądek.

Oczywiście, że głodu nie zaspokoilem. Ratuje mnie chleb. Czarny, skromny bochenek, ale niezwykle smaczny. Cóż dopiero, kiedy się na nim zjawi żółciutkie, tłuste, świeże, domowe maselko. O cudziel!

Wieczorem — czarna kawa. Odrywa, widokiem przy najmniej, od skierniewickiej rzeczywistości, przenosząc mnie myślą (bez przepustki?) do „Ziemiańskich“, „Esplanad“, „Manteuffłów“ i podobnych, cywilnych „dolec far niente“.

Rozwodzić się nad różnorodnym zestawieniem smaków wojskowego menu byłoby niemożliwością właśnie ze względu na ich przebogate odmiany. Jedno natomiast jest pewne, że ponad wszystkiemi dominuje smak świeżych, twardych, ale, przynajmniej narazie ciężko strawnych „jaj“.

Strz. z cenz. B. Milsztejn.

PODCHORAŻÓWKA W PRZEMYŚLU

Dzień chmurny, lecz w sercach naszych jasno i pogodnie było.

Zwartym szeregiem, obścąpili przyszli podchorążacy stoły, na których lśniły lufy karabinów.

Prężyli się ciała, mięśnie drgały w takt muzyki, a oczy skry sypały... Żołnierz z nas już stary, wszak tydzień minął, jak jesteśmy w wojsku — a teraz stanąć mamy przed obliczem dowódcy pułku i z jego rąk otrzymać mamy broń.

Nadszedł wraz z naszym dowódcą kompanji. Ciska głucha zaległa szeregi, iż stuk dwu setek serc słycać było i przyspieszony oddech...

W szczyrych i serdecznych słowach powitał nas, jako nowych adeptów szkoły Marsa — wskazał wzniosłe cele i hasła jakie przyświecać nam winny, oraz obowiązek przelania krwi dla Ojczyzny. Skończył, biorąc karabin za karabinem, wręczał je każdemu przy dźwiękach orkiestry.

Serca nasze waliły jak młotem, gardła ścisnęło wzruszenie, ręce trzymały niewprawnie, lecz twardo, podany karabin.

Gotowi byliśmy już w tej chwili skoczyć w krwawy bój — a piersi rozpierała duma, dusze wielkim głosem szepotały, iż broni z rąk nie puszczą, aż krwi ostatnia kropla ujdzie, aż dech ostatni uleci — za nią i dla niej, dla Ojczyzny...

— Czołem kompanja! — Czołem panie pułkowniku! — gromkiem echem rozniosły mury koszar żołnierskie pożegnanie.

Zdawało się, że okrzyk ten rozszedł się po całym mieście, za jego mury wyleciał i osiadł na rubieżach Rzeczypospolitej.

Strzelec z cenz. R. Gürtler

PIERWSZE DNI WOJAKA

Dostaliście kategorje „A“, Będziecie mieć zaszczyt służyć w wojsku polskim — powiedział dobitnie przewodniczący komisji poborowej z rozjaśnioną miną, nie myśląc wcale o tem, że wydaje wyrok na poborowego z cenzusem.

No ale po wyroku czas miło płynie: wakacje, „spacery łodzią, wycieczki wśród fal“, przytem „odrobinę szczęścia czyjegoś“ — jednym słowem dwa słowa. Nagle jak piorun z nieba spada na cenzusowca wiadomość: karta powołania — dokąd? Brześć nad Bugiem!.. Uwłosienie stanęło mu dębem. Brześć n. B. wykształcił. Pies niespokojnie zaczął się kręcić u jego nóg i jął podskakiwać do karty. Cenzusowiec mimowoli dał mu kartę pod nos. Nie wiedzieć czy pies przeczytał ale warknął złowrogo i aż mu szerść stanęła na ogonie no i wogóle.

Dzień poprostu był fatalny. Zamyślony o tym Brześciu wpadł do balji z zimną wodą i dopiero wtenczas zaczął chłodniej rozumować. Hm — przecie do Brześcia powoływano nawet wybrańców ludu...

Od tego dnia już niedaleko do wyjazdu. Nadszedł wreszcie i wyjazd. Co to był za „wylew“ uczuć przy pożegnaniu to trudno opisać. Całe rodzeństwo beczało, i poborowy z cenzusem odjechał... odjechał od domu rodzinnego, z walizką napełnioną żywnością — pomidory, masło, jaja, ser, bułka, kurczęta pieczone, śliwki i wszystko w co tylko była chata bogata.

W drodze spotkał dużo Kolegów zdążających do Brześcia. Braćwo naogół było wesołe. Jeden tylko wciąż wzdychał i powtarzał „Aby tylko do Brześcia“ i znów ciężiej wzdychał i mówił „Aby tylko do Brześcia“.

Brześć! wysiadać! Cenzusowcy zabierają walizy i wysiadają. Nasz cenzusowiec odrazu ze stacji szuka twierdzy.

Jak się ze stacji dostał do pułku tego dokładnie nasz cenzusowiec nie wiedział. Pamiętał tylko, że się raz przewrócił i usłyszał nad sobą głos oficera: „Oferma jesteście! Powiedźcie mi coby było, gdyby nieprzyjacieli nacierał na was w tej chwili“. Rozmyślając nad tem coby rzeczywiście było przyszedł poborowy do pułku osiem dwa.

Pierwsza rzecz tu to strzyżenie, mundurowanie, kąpiel i to trwało cały dzień tak, że wieczór po kąpieli słyszeliśmy takie nawoływania i rozmowy:

„Hanys! pieronie — kajs się podział?“
„Hawl.. pójdź sam Wilim!“
„To ty Hanys? Kiej jo ci nie wierza.“
„Jak grossfaterka kochana, że jo.“
„Pieronie ale cię ganz prafasonowali“.

Baczność! za pięć minut wszyscy śpią. Spocznij! Trochę dłużej trwało ale na pierwszy raz można darować. Za godzinę wszystko spało snem sprawiedliwych. Ani wiedzieć kiedy noc minęła. „Pobudka, pobudka wstać!“ Nasz cenzusowiec przeciera oczy — to przecie ledwo słońce wstało. Nie tego nie daruję. Kto jego przemęczonego maturą śmie tak wezas budzić. Ale mu pokaże. Spiesz się. Już gotów, „Zbiórka!“

Po śniadaniu zdawanie ubrań cywilnych do magazynu. Każdy w ogonku ze swoimi pakietami. Pan kapral bierze ubranie każdego i dyktuje: marynarka 2,50 zł, spodnie 1,50 zł, koszula 50 gr, kalesony 50 gr, czapka 20 gr, krawat 10 gr. Ależ to wszystko tanie w tym Brześciu. Tu to tylko żyć.

Za dwa dni. „Panie plutonowy! strzelec z cenzusem, Fryga, melduje posłusznie, że zgubił czapkę“. „Zapląćcie 1,50 zł i jeszcze zostaniecie ukarani“. Zdziwił się nasz Fryga — to jego czapka warta 20 gr, a ta 1,50 zł? O, to w Brześciu nie tak tanio.

„Chorzy przed kancelarje!“ — zawał pewnego dnia służbowy „Co wam jest?“ — pyta szef. „Noga boli“, „a wam?“ „głowa“, „a was?“, „żołądek“, „a was?“, „kciuk u lewej nogi“..! Co? i to są chorzy? Na zbiórkę kompanji biegiem marsz! „Ja wam dam chorować“. Zaraz tego dnia w rozkazie kompanji pan szef czytał: „Pan kapitan zabrania wszystkim chorować! Nie wolno!! Rozkazi!“ i rzeczywiście nie wolno. To to dopiero recepta: i na nogę, i głowę, żołądek i t. d., lepsza niż ryecynus, aspiryna i inne lekarstwa. Na drugi dzień wszyscy zdrowi idą na ćwiczenia. Aha — piosenka o tych ćwiczeniach:

„Na ćwiczeniach tyraljera tralala
Na ćwiczeniach tyraljera, da...“



Oj! bo może kopnąć!

fol. Eisenbram

Dalej zapomniałem, a szkoda, bo nasz strzelec z cenzusem chciał się tego nauczyć. Właściwie nie straconego. Nauczy się jeszcze tego i wiele innych ciekawych rzeczy.

strz. z cenz. St. Kogut

Brześć n/Bugiem

KOŃ MA CZTERY NOGI

W PODKUTYCH BUTACH.

Pan też do Grudziądza? I ja. I ja. Okazało się, że przedział był pełen dzielnych „kawalerzystów in spe“. Czyż w takich okolicznościach możnaby spędzać inaczej czas, jak rozważając to co nas czeka, zaledwie za kilka godzin. Zacięty

dyskusję na temat do którego szwadronu i plutonu jest najlepiej się dostać przerwał nam mały, lecz zato groźnie poruszający wąsikami wachmistrz przed którym znalazły się nasze zaspiane fizjognomje na dworcu w Grudziądzu.

Dalej już wszystko poszło jak kalejdoskopie. A więc uroczyste obcięcie włosów, fasowanie ciężkich podkutych butów, po włożeniu których szwadron stanął jak „wryty w ziemię“. Ani spostrzegliśmy się jak z „zakazanych cywilów“, wedle słów p. szefa staliśmy się rekrutami, będącymi skrajnym przeciwieństwem „malowanego ulana“ z obrazów rodziny Kossaków.



Pierwsze czyszczenie „pegazów“

fol. Eisenbram

OD STAJNI DO ŚMIETNIKA.

Mijały dni a jakoś koń był dla nas dalej „terra incognita“. Zamiast wspaniałych galopów, skoków przez przeszkody, o których śniliśmy w Warszawie, odbywały się w nieskończoność wykłady p. wachmistrza o tem co to jest postawa zasadnicza, jak się pada, przysiada, biega od stajni do śmietnika i z powrotem oraz wykonywuje inne czynności bez których nie może się obejść żaden kurs rekrucki. Ćwiczenia te były naturalnie naszpikowane mniej lub więcej soczystemi uwagami pod adresem biegającego pół cywila, pół żołnierza.

— „A to ulan z cenzusem XY nie wie, że „na baczność“ trzeba trzymać pięty do kupy, a stopy rozkupy“. Dalej zaś następowało ciekawe porównanie ulana z cenzusem z „głupim Jasiem“, które wypadło b. na niekorzyść tego pierwszego.

ULAN I CZŁOWIEK.

Nadszedł wreszcie dzień upragniony. Zaprowadzono nas pierwszy raz do stajni, by pokazać siodłanie koni.

— „Zanim człowiek to jest ulan wsiądzie na konia to musi go oczyścić i osiodłać“ jak mawiał p. wachmistrz. Ścisłe w myśl tej maksymy, postępowano z nami. Musieliśmy w podłodze stajennej wybić wiele dziesiątek „kresek“¹⁾ zanim pozwolono nam wyprowadzić konie na mały skrawek skopanej ziemi, za gmachem koszarowym szumnie zwany ujeżdżalnią. A ta pierwsza lekcja jazdy konnej wypadła... szkoda gadać jak zwykły mawiać nasz porucznik.

D. c. n.

ulan z cenz. Junosza

¹⁾ Paski kurzu i szerści wytrąsnięte z jednego grzebla przy czyszczeniu konia.

OTWARCIE KURSU W KRAKOWIE

(St. J.) W dniu 23 IX b. m. odbyło się uroczyste otwarcie IV Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy 6-ej Dywizji Piechoty w Krakowie. Uroczystość zagościł silnym przemówieniem płk. Cwiertniak, życząc Komendantowi, Oficerom, Podoficerom i Wychowankom jak najowocniejszych wyników pracy. Skolei Komendant szkoły kpt. dr. Szydłowski wśród dźwięków hymnu narodowego zawiesił sztandar państwowy, poczem wygłosił piękny wykład o cnotach żołnierskich.

(St. J.) Wierni tradycji lat poprzednich zorganizowaliśmy zaraz na początku koleżeńskie Koło Podchorążych. W dniu 21.IX wybrany został przez Walne Zebranie Zarząd w składzie:

Prezes: Hawlena Stefan, sekretarz: Szubert Tadeusz, skarbnik: Apollo Mieczysław.

Kierownicy Sekcyj: literackiej: Jarzębiński Stanisław, sportowej: Feix Kurt, fotograficznej: Furwicz Kazimierz, dramatycznej: Sroga Władysław, chóru: Gwizdała Stanisław, gospodarz świetlicy: Fiszer Stanisław, redaktorzy-korespondenci „Podchorążego”: Jarzębiński Stanisław, Fiszer Stanisław.

PIERWSZY DZIEŃ

Dawne i dobre to były czasy, gdy młody chłopak idąc śladem rodzica-rycerza rozpoczynał karierę wojskową. Naprzód pazik wysmukły w różnobarwne szmatki obcisnięty, trubadur dzwoniący strunami w serca nadobnych dworskich dam, po nocy ciężką swą służbę odbywający — później wykształciwszy w ten sposób zaczny — i serce i rękę, odznaczający się w boju i turnieju, rycerz i pogromca straszliwy. Mówią nam o tem dawne dzieje. Zdobił go pas, złote ostrogi i żywa pamięć przewag w mrocznych a słodkich alkoholach zachowana we wdzięcznej pamięci dworskich „amou- rèses”.

My, to znaczy przyszli podchorążowie, chluba i duma naszych wychowawców zaczęliśmy podobnie. O tyle — że zamieszkaliśmy w Zamku, tak jak i oni. Proszę nie robić powątpiewających min. W oryginalnym Tarnopolskim starym Zamku o murach tak grubych, że nie przebiłaby ich najbardziej filozoficznie zahartowana ogolona rekrucka głowa. Bo już teraz rozumiemy wszyscy, że taka głowa nawet do tego tu nie może służyć.

— Siedziało nas czterech — chłopaki jak świece (tak, zawsze mówiono) w pokoiku fryzjerki, jedynej kobiety w obrębie naszego Zamku. Tak — jedynej. Nie — siedział jeden, a trzech stało i patrzyło przez ramię fryzjerki z głębokim smętkiem w oczach i ciężką melancholią w duszy jak z pod maszyny zsuwały się pyszne jasne pukle włosów, a zaczynała się jeżyć króciutką szczecinią głowa naszego kompana. Wierzę już teraz i w to, że Pan Bóg człowieka nieszczęśliwego z gliny ulepił. Wystarczyło mi popatrzeć na tę głowę bez włosów, które choć są tania i banalna ozdoba głowy — jak mówią ludzie mądrzy ale łysi, jednak zakrywają wszystkie guzy — góry, rowy itp. niedociągnięcia niesprawiedliwej matki-natury. Nasz kompan wstał, spojrzął w lustro — zapłacił i ostrożnie, aby się jeszcze raz nie przewinał przed błyszczącą smutną prawdą, taflą — wyszedł. Widziałem go w chwilę później w kącie podwórza za ławkami jak uważnie wpatrywał się w małe lusterko — i krzywił na różne

sposoby niedawno bezwątpienia przystojną twarz. O sobie nic nie powiem. Mam przyrodzone skłonności do torsji i od chwili ostrzyżenia nie spojrziałem do lustra. Do „pazia” napewno nie jestem podobny. Rozglądałem się z braku innego zajęcia po kątach. Wszędzie zgarbione „typki”, głowy podparte rękami.

Smutny nastrój przerywa wezwanie do kąpieli. Pierwszy chórny wybuch śmiechu, na widok masy nagusów, usiłujących zakryć rękami to, co tylko mamusia w wanience widziała — dzikie okrzyki przestachu i uciezka przed zimnemi kroplami wody z tuszów. Brzydka niespodzianka dla piękniśców i pieszczoszków. Poza to lody przełamane. Niektórzy już się „tykają” — wszyscy się śmiejemy, mówimy. Później mundury. Bez uwzględnienia wielkości i wzrostu skazańców. Ktoś maleńki — pamiętam w „cywilu” nawet dość groźnie wyglądający, usiłuje podciągnąć i zapiąć spodnie zachodzące aż gdzieś pod wasy — jeszcze butnie nastroszone. Nigdy się już go nie zleknię. A śmiać się będę zawsze. Ktoś szarpie z wściekłością za końce rękawów — mam wrażenie, że lada chwila zacznie prosić aby urosły. Sterczy, wysunięta daleko ręka, owłosiona, nasuwa się smutna refleksja, że mężczyzna to jednak gruboskóry „pithecanthropos erectus”. A kobieta — kobieta.

Wreszcie jakoś poszło. Mam już mundur, zjadłem kolację.

Niedługo potem przyłożyłem głowę do wypchanej na kant poduszki, wspomniałem wdzięcznie dotychczasowy wikt dzięki któremu mogłem głowę przełożyć na własne i dość miękkie ramię i mocno usnąłem.

Śniły mi się złote ostrogi. Wyciągałem po nie ręce, dźwigałem ciężką nogę w żołnierskim bucie do pierwszego kroku — do nich. Świeciły się przedemną jasne, pyszne, ale jeszcze bardzo, bardzo dalekie.

Tarnopol

Strz. z cenz. J. Nawrocki

WIADOMOŚCI Z LIDY

W Chinach za panowania dynastji Tsen (ok. V w. przed Chr.) żył mędrzec imieniem Lao-cu (Stare dziecko) Według podania wyszedł z łona matki jako 56-letni mężczyzna — zupełnie siwy. Urodził się, że tak powiem w pełni władz umysłowych. Normalnie zaś dojrzewanie odbywa się albo drogą uciążliwych ewolucji, albo drogą etapowych metamorfóz. Przykładem takiej metamorfozy jest służba w wojsku.

„Klercy” niech przyjdą do nas a zobaczą „pełnego człowieka”, który się narodził. Na Kursie jest półtora-sta uczniów. Każdy z innej części Polski, każdy przywiózł ze sobą różnicowania dzielnicowe, a te połączone i wymieszane — dają rzeczywisty i nadzwyczaj plastyczny obraz tworzącej się Przyszłości.

Pobudki, śniadania, obiady i ćwiczenia, niewyszukane jednak szczere, „kawaty” żołnierskie — każdy to zna... Poruszę zatem inny temat.

Najważniejszym zadaniem wychowawców wojskowych to szarmonizowanie organów fizycznych człowieka z psychicznymi. Zadanie nadzwyczaj trudne i nie każdy dowódca bierze go pod uwagę. Szarmonizowanie takie nie polega bowiem na mechanicznym wykonywaniu komend i rozka-

zów, ani też na bezpośrednim wnioskowaniu bez głębszej analizy.

Dzisiaj, w epoce wzmożonego militarizmu nie można być obiektywnym, a trzeba czempredziej przerzucić się na pro, lub contra. Zbroją się wszystkie państwa. Jedne z wybujałej ekspansywności politycznej, inne z potrzeby samobrony. W zgiełku przedbojowym chodzi o pokolenie, któreby nie wykorzystało swojej przewagi fizycznej dla celów nieetycznych.

Państwo winno być przygotowane na wypadek wojny, ale przygotowanie musi być oparte na zasadach zgodnych z etyką i kierowane przez rozumnych ludzi. Taki kierunek obrali Dowódcy Kursu Podchorążych Rezerwy 19 Dywizji Piechoty.

Zaraz w pierwszą niedzielę wylonili się z inicjatywy Dowódcy Kursu rozmaite Sekcje, jako to: dramatyczna, oświatowa, gazetki, szachowa i t. d.

Siedzę w świetlicy i piszę... W jednej sali przygotowują rewję, w drugiej śpiewa chór, w trzeciej pracuje reszta. Za oknami koledzy uprawiają gry sportowe. Przy każdym stole i w każdym kącie inna myśl. Wszystkie tworzą nasz świat — ducha i mięśni.

Wychowanie w szkołach jakkolwiek podstawowe, jest niewystarczające. W wojsku widzi się dopiero wiele braków, które trzeba wyrugować w czasie służby. Człowiek powinien być chociaż częściowo obeznany z główniejszymi przejawami życia. Zbyttnia kierunkowość dzieli społeczeństwo na grupy nie rozumiejące się wzajemnie. Pomiedzy niemi wyczuć można lukę, w które powinien wejść inteligent i zapelnąć je sobą.

Dzisiaj mieliśmy pierwszy odczyt, w którym jeden z kolegów komentował jurysdykcję wojskową. Każdy pra-



W izbie żołnierskiej

wie z uczniów zgłosił referat ze znanej mu dziedziny życia. Metodą referatów i pracą w wolnych chwilach uzupełnimy własne braki sięgając po uczucie jakie miał Lao-cu zobaczywszy światło dzienne — daleko... w Chinach.

B. Skruba
Strz. z cenz.

ŁÓDŹ PRACUJE

Uroczyste otwarcie naszego kursu nastąpiło w dniu 22 września b. r. Po mszy św. w kościele garnizonowym uczniowie kursu zebrałi się w sali wykładowej w oczeki-

waniu Dowódcy 10 Dyw. P. Po chwili przybył p. gen. Olszyna-Wilczyński w otoczeniu wyższych oficerów i przemówił gorąco do zebranych, określając zadania żołnierza, a w szczególności nasze, jako przyszłych oficerów. Następnie przy dźwiękach hymnu narodowego komendant kursu, p. kpt. Jędrzejewski, zawiesił sztandar z wyszytą na nim datą bitwy radzywińskiej.

W szkoleniu się na przyszłych dowódców przechodzimy różne etapy. W ciągu pierwszych kilkunastu dni prowadziliśmy tryb życia prostego żołnierza, nie korzystając z żadnych udogodnień. Teraz minął już ten okres ku wielkiemu wszystkim zadowoleniu.

Obecnie dzień nasz rozpoczyna się pobudką o godz. 6-ej, w przeciagu godziny ślanie łóżek, ubieranie się, posiłek ranny; o godz. 7-ej wymarsz na plac ćwiczeń, odległy o 4 km. od koszar. Godzina 12-ta jest dla nas porą obiadu, a zarazem początkiem południowego odpoczynku, który czasem, nie zawsze, schodzi na ścieleniu łóżek. Po południu odbywa się musztra, względnie wykłady, w zależności od pogody. Po czyszczeniu broni następuje odczytanie rozkazu o godz. 18-ej, potem kolacja i wreszcie capstrzyk o godz. 21-ej. Znojny dzień żołnierza okraszony bywa często zdrowym humorem, czasem przytłumionym napomnieniem albo nawet karnym raportem. Naogół jednak dalecy jesteśmy od smętku życia cywila i w wytężonej pracy dla państwa znajdujemy radość.



Już w mundurach!

fol. Zacharjasiewicz

Na naszym kursie zorganizowaliśmy samorząd koleżeński, który ma nader rozległe zadania. Praca skupia się w różnych sekcjach, a więc kulturalno-oświatowej, sportowej, muzycznej etc. Przedewszystkiem jednak samorząd ma zadania samopomocowe. Zarząd dysponuje wpływami z żołdu, jak również z dobrowolnych składek zadeklarowanych przez uczniów kursu. Działalność samorządu wstąpi niebawem w stadium pełnego nasilenia, gdyż dotychczas t. j. 7.X b. r. trwały przeważnie prace organizacyjne.

ECHA Z NAD NIEMNA

Zaledwie 16 dni temu jak spokojny dworzec grodzieński zarośli się we wczesnych godzinach porannych od adeptów sztuki rycerskiej — cprawda nastrój więcej senny, niż rycerski — ale z pomocą przychodzi bufet — ostatnie pożegnanie cywila musi mieć też swe formy może nie regulaminowe ale zwyczajowe w każdym razie. Niektórzy realiści dostosowali już głowy do przepisowego polysku — inni cieszą się jeszcze i głaszczą z rozrzwaniem troskliwie hodowane kępki włosów. — Wszyscy snują wizje — raczej telewizje — są i tacy, którzy radzą czekać bo chyba pułk wyśle na powitanie swą orkiestrę, tymczasem żaloszny zawód — niema nawet trębacza, optymiści jeszcze w pociągu zaczynają zwolna redukować swe obliczenia awansowe, urlopowe, chorobowe — im bliżej koszar tem horoskopy skromniejsze — ostatni przeblisk samodzielności kończy się w bramie koszar — tu nas wita z należnymi honorami — wartownik i odtąd mamy już czułą opiekę — poprostu nie musimy poruszać się sami — wszędzie dostajemy asystę — niektórym się to nawet bardzo podoba — specjalnie tymbardziej towarzysko rozwiniętem — bo poco chodzić samemu jak można we dwójkę.

Po rejestracji akt następny — postrzyżyny. — Ci, którzy liczyli jeszcze na nieświadomość lekarza i zachowanie na wszelki wypadek swej męskiej ozdoby muszą też dać się oskalpować — maszyna balwierza pułkowego nie próżnuje — bardziej przewidującej którzy wręczyli sobie przy zapoznaniu fotografie bez włosów nie są narażeni obecnie na powtórne przedstawianie się — drelichy dopełniają reszty metamorfozy — wszystko jednokolorowe — z pstrokacizny dworcowej nie pozostało ani śladu — niema już Warszawiaków czy Krakowiaków — obojętne czy jesteś ze stolicy czy z Grajewa — jednakowo musisz słuchać, jednakowo czyścić buty i jednakowo dostaniesz wciurę za brak gwoździa w bucie — jest tylko jedno pojęcie rekrut plus cenzus lub jak niektórzy czciciele wiedzy twierdzą cenzus... z rekrutem...

Płk. Oziewicz wręcza broń rekrutom z cenz. w Grodnie
fot. Zacharjasiewicz



Nowy tryb życia — jakże różny od „regularności i systematyczności” akademickiej — wsącza się powoli w nasze życie — piszę powoli bo chcę być lojalny i wypośrodkować między opinią władz no i kursistów. — Ci ostatni mają przecież też zdanie — choćby na łamach „Podchorążego” — no i tu korzystają z przywilejów ustawy prasowej, która chroni ich chyba przed — raportem!

To wsączenie ma i swój wyraz zewnętrzny — stajemy się z każdym dniem bardziej pojemni i bardziej odporni na ciężary — codzień zaprawiamy się intensywniej w dźwiganiu ciężarów — tak dalek a ustalimy w tej nieznannej dotąd konkurencji jakiś nowy rekord — ci co wczoraj sklinali na łopatkę, czy karabin, dziś chętnieby wzięli już 2 łopatki — za jeden tornister — ale dlaczego człowiek niema się przyzwyczaić, skoro wielbił — — —

Tak samo trzeba się przyzwyczaić i mówić zawsze „tak jest” — nawet wtedy gdy to nierozwiązuje całkowicie zagadnienia — a co zdarza się często gdy np. poirytowany instruktor mając np. już dość postawy zasadniczej jakiegoś typa zadaje mu retoryczne pytanie — „czy właściwie z siebie robicie warjata czy ze mnie” — i taki rekrut jest wtedy w kropce — bo ma bronić swego honoru i równocześnie nie obrazić przełożonego — niektórzy jednak nie lubią komplikować sytuacji, jak np. jeden z naszych kolegów — który na zbyt dyskretnie wyjawienie swego nazwiska szefowi — otrzymał krótką odpowiedź — „jeszcze raz — ja jestem głuchy” — lojalny rekrut zapomniał języka w ustach i odpowiedział krótko, „tak jest Panie Szefie”.

Takich wesołych momentów w początkowym okresie jest bardzo dużo, kiedy śmiałość i zdecydowanie starają się zwyciężyć tremę.

Alę są i tacy co się mniej spieszą — znowu wszędzie kategoria dekonników — tych nie przerażają nawet ćwiczenia bojowe, przeciwnie czem większe nierówności terenowe i zagłębienia — tem je lepiej wykorzystują, najlepszy czyn dla schronienia się przed okiem nieprzyjaciela — i swego dowódcy — jednak nie zawsze — czasem lepiej być obserwatorem w służbie lotniczej — przynajmniej nie trzeba tyle razy padać — tam wystarczy raz. Z lotnictwem mamy dużo uczuciowych więzów, zazdrościmy mu czasem jako jedynej broni która niema się już przed kim kryć — za to piechota specjalnie w okresie rekruckim wszędzie widzi lotnika, nic dziwnego, że u większości naszych kolegów obudziło się takie zainteresowanie do lotnictwa — na podstawie ilości kandydatów należałoby szkołę lotniczą z Dębłina przenieść do Grodna, niewiem jednak czy M. S. Wojsk. zgodzi się na tę koncepcję — narazie nasi koledzy „lotnicy“ uczą się lądować bez spadochronów i na własnych skrzydłach — zato z obciążeniem, żeby nie przeciwdziałać sile przyciągania ziemi — amatorzy do broni pancerniej, specjalnie czołgów, również nie mogą się skarżyć na brak treningu — — —

Piechota, specjalnie w pierwszym okresie jest uniwersalną i słusznie zasługuje na miano królowej broni — mimowoli niejeden z naszych milusińskich tęskni jeszcze za zmianą broni — oczywiście — na białą.

Ale i ci „biali“ zżyją się z nami — by razem sprzęgnęci dłoń w dłoń — ożywiłi jednym mocno bijącym sercem, wykuwać w sobie nowe wartości i wydobywać te elementy, które w życiu młodego człowieka są niezbędne.

W wojsku uczymy się i zdrowego humoru, uczymy się śmiać — bo czyż można sobie wyobrazić bardziej obfityjacy w komiczne momenty okres — jak rekrucki — co za bajeczne przeżycia — co za typy i typki — a mycie menażek w pierwszym tygodniu — czy nie mówimy na te i inne „przeżycia“ już dziś „frajer“.

Twarde słowo musztry niema już w sobie tego ponurego zabarwienia — wiele rzeczy i fragmentów zmienia swój koloryt — w miarę jak wczuwamy się w nową sytuację i nowe warunki.

Stajemy się coraz bardziej żołnierzami — śpiew na naszych ustach jest z każdym dniem głośniejszy — mundur staje się nam coraz bliższy a szare wyłogi pełne jasności i pogody.

Nasi wychowawcy starają się z nas wydobyć jaknajwięcej fizycznych i wartościowych elementów i trafiają na coraz większe zrozumienie.

Toteż w dniu Imienia Dowódcy Kursu Dyw. kpt. Kufarskiego — Podchorążacy świadomie wyrażali się wdzięcznie za serce i wielki trud jaki w pracy nad nami podejmuje.

To zrozumienie rośnie z każdym dniem. Na uroczystem otwarciu kursu gen. Kleeberg dow. dyw. piechoty zawiązując barwy narodowe w auli wykładowej skreślił w pierwszych słowach sylwetkę żołnierza — do tego ideału zmierzamy — marsz na tej drodze już rozpoczęliśmy.

rekr. z cenz. Wł. Zacharjasiewicz.

OTWARCIE KURSU W CZĘSTOCHOWIE

Przyszedł wreszcie dzień 29 września, w którym miało nastąpić uroczyste otwarcie naszego kursu. Mijał już tydzień jak zrzuciwszy skórę cywila zamieszkaliśmy w koszarach, a ćwiczenia pułkowe nie pozwoliły na wcześniejsze dokonanie tego uroczystego aktu.

Powiadomieni rozkazem z dnia poprzedniego o programie mającej się odbyć uroczystości, ochoczo zerwaliśmy się po pobudce i ubieraliśmy nasze postacie w galowe mundury. Na zbiórce stanęliśmy pełni wewnętrznej powagi, gdyż pierwszy to raz mieliśmy wyjść z wielką paradą — w wojskowym szyku za bramę koszar jako żołnierze...

Przełożeni nasi przybrali także wygląd uroczysty, ich bowiem to zadaniem w ciągu roku uczynić z nas prawdziwych żołnierzy, godnych w przyszłości tytułów oficerów rezerwy. Udając się na nabożeństwo do kościoła garnizonowego, szliśmy z lekkim wewnętrznym drżeniem wpatrzeni przed siebie i wsłuchani z lubością w miarowy stuk naszych podkutek butów po kamiennym bruku, groźnie dudniący na tle marszowych dźwięków orkiestry.

Weszliśmy do kościoła... Miejsca przed prezbiterjum zajęli p.p. oficerowie z gen. Gąsiorowskim na czele, a także cywilni przedstawiciele miejscowego społeczeństwa. Nabożeństwo celebrował ks. kap. mjr. Żelaznowski, który w krótkich słowach, zwracając się do nas, podkreślił dodatnie strony służby wojskowej i obdarzył nas swem błogosławieństwem. Po nabożeństwie wróciwszy do koszar stanęliśmy w zwartym szeregu w pułkowej świetlicy, gdzie nastąpił kulminacyjny punkt naszej uroczystości. Orkiestra zagrała marsza i do świetlicy wszedł p. gen. Gąsiorowski z d-cą 27 p. p. ppłk. Czaplńskim i oficerami. Przed frontem wyprężonych naszych postaci, komendant kursu p. kpt. Szulec zdał raport p. gen. Gąsiorowskiemu, który objawszy nas spojrzeniem swych stalowych oczu, powitał słowami: „Czołem żołnierze!” — z piersi naszych rozległ się powitalny odzew, w brzmieniu którego tyle wibrowało wzruszenia i wewnętrznej radości! Potem zwróciwszy się do obecnych przedstawicieli szkół średnich, w osobach dyrektorów i profesorów miejscowych szkół, powitał ich pan General jako tych, którzy przez swą obecność mają symbolicznie przekazać młodzież wysłą z pod opieki szkoły — wojsku.



Gen. Gąsiorowski osobiście wręczał karabiny częstochowiakom.

Następnie w słowach zwięzłych, a treściwych mówiąc do nas podkreślił znaczenie kształcenia oficerów rezerwy i wskazując na różne strony wojskowego życia, zachęcał nas do pozytywnego ustosunkowania się do służby wojskowej, byśmy kończąc ją mieli pełne zadowolenie i przeświadczenie, że czas w niej spędzony jest wykorzystany nie tylko przez wyszkolenie nas w kierunku czysto wojskowym, ale także przez rozszerzenie ogólnego horyzontu życiowego.

Po przemówieniu orkiestra odegrała hymn państwowy, a pan general podniósł i zatknął w świetlicy flagę państwową, nadając w ten symboliczny sposób wielką ważność tej uroczystej chwili otwarcia dyw. kursu pchor.

Po dokonaniu tego aktu wyszliśmy na plac ćwiczeń, gdzie w uroczysty sposób została nam wręczona broń. Po dwóch strzelców z każdego plutonu otrzymało z rąk p. generała, dwum następnym wręczył ją komendant kursu, a pozostałym dowódcy poszczególnych plutonów. Niejednemu silnie łomotało w piersiach serce, gdy dłońią swą obejmował swą broń.

Żadna jednak twarz nie zdradzała nurtujących w głębi uczuć, kryjąc się z wyrazem głębokiego skupienia. Z bronią w rękę wkroczyliśmy na swe sale, pełni wzniosłych postanowień odnośnie swej służby wojskowej i wiary w ich urzeczywistnienie.

strz. z cenz. Garyga Józef.

KARTKI Z KRONIKI DĘBLINA

Data 20.IX.35 r. dla „cenzusiaków“, mających odbywać służbę wojskową w Dęblinie była słupem granicznym, dzielącym sielankę życia cywilnego od pełnej mocnych akcentów rzeczywistości wojskowej. Cenzusiaków dęblińskich wzywano na miejsce wojskowego przeznaczenia na godz. 8 rano. Już poprzedniego dnia wieczorem i wciągu nocy sypnął się kwiat młodzieży w mury twierdzy. Fort Dębлін od stacji kolejowej znajduje się w odległości 3 km. Należało więc pomyśleć — ostatni raz na sposób cywilny — o transporcie ciężkich, zapakowanych matczynymi rękami, walizek. Na pustym placu przed stacją dało się odszukać zapomnianą, melancholijną dryndę. Zgrzybiały starozakonny, właściciel i kierowca przetarł oczy i począł się wysilać na kawalerską

fantazję. Landara, pamiętająca zapewne czasy przedpotopowe, roztańczyła się koślawa na kocich łbach, wielkością przypominających łby końskie. Gromada przybyszów pod wodzą miejscowego weterana, cenzusiaka z jedną belką uradziła załadować bagaż na landarę, a osobiście drogę odbyć piechotą jak przystało na przyszłych Podchorążych Rezerwy Piechoty. Oddział podróżników w nieznaną i ich tabor przybyli do twierdzy szczęśliwie — rekruci rozgościli się w koszarach, pierwszy raz przyłożyli głowy do nabitej słomą żołnierskiej poduszki. W ciągu nocy i następnego ranka z kufkami stylowo, lub z walizkami nadciągały grupy poborowych — miny jednych były roześmiane, jakby szli do ślubu, miny drugich (oczywiście nielicznych) wydłużone, jakby szli na pogrzeb, jeszcze innych — wisielczo buńczuczne. O godz. 8 rano komplet był na miejscu — kłamka zapadła.

SALON DE BEAUTÉ

Jak powszechnie wiadomo jednym z zasadniczych punktów ceremoniału powitalnego w wojsku jest uroczystość postrzyżyn — jak za pierwszych Piastów. Obrzęd ten — poucza dostojny kronikarz — praktykowany u Słowian i Germanów wprowadzał dziecko zwykle siedmioletnie do rodziny później do rodu, czy plemienia. Złotowłose dziecię przechodziło z pod opieki matczynej w twarde ręce



Uczesać gładko czy z przedziałkiem?

Fot. Sobański

ojcowskie, które zaprawiały je w rzemiośle wojennem. Historia — nauczycielka narodów — powtarza się, obyczaj przez tysiąclecie nie uległ zmianie — zmienił się tylko wiek poborowy. W XX wieku 23-letnie dziecko Ojczyzny obrzędem postrzyżyn wcielone zostaje w szeregi rodzimego pułku. Przebieg uroczystości jest nieskomplikowany, ale mimo to godny uwiecznienia w kronice.

Zgraja uśmiechniętych dryblasów została stanowczo zaproszona przez służbowego podoficera — pod nóż. Maszerujemy do miejscowego mistrza ceremonii. Salon jest zaimprovizowany w jednej z koszarowych oficyn. Dwa stanowiska — dwie maszyny elektryczne. Nie do takich warunków przywykł wytworny młodzian. Wchodzący klient nie posłyszysz uprzejmego „mojszanowanie panu”, nikt nie zwróci się z ukłonem: „może gazetkę?...” Biorą człowieka za łeb i brutalnymi pociągnięciami maszyny wycinają we włosach białe pasy, jak wyrabane drogi w lesie. Mistrz ceremonii zabawia temi wycinankami publiczność. Przychodzi kolej na mnie. Napróżno czekam na pytanie: „czy skropić włosy? czy kolońską?” Spróbuj — Bracie Cenzusiaku — pisać coś po cywilnemu, a tak Cię skropią jędrnym słowem, że Ci świeczki w oczach staną. Brunet, czy ryży, podłysiały czy blondyn — każdy schyla głowę z miną Marji Stuart, składającej swą łabędzią szyję pod topór. Jak jesienne liście z drzew, sypią się włosy z głów — miękkie, puszyste, cywilne. Aż serce ścisną się z żalu, gdy człowiek patrzy na to spustoszenie, na to unicestwienie czaru młodzieńczych fryzur. Ci, którzy samobójczo zgolili głowy przed przyjazdem do Szkoły są w tej uroczystej chwili bezrobotni — z zadowoleniem wygapiają się na bezkrwawą egzekucję. Sam oso-

biście jestem już gotów. Spodem wyprostowanej dłoni szoruję po ogolonej czaszce. Z przyjemnością i smętną rzewnością stwierdzam drapiącą szorstkość — po każdej kośbie zostaje rzyśko — jest ono nadzieją bładą jak fryzjerskie przeszcieradło, że kiedyś — kiedyś odrośnie bujna czupryna — ale to sentymentalizm... Zwiększają się zastępy postrzyżonych głów. Nagle rozlega się cwaniacki głos: „panowie! kto kupi grzebień? Pewno — na upartego i łysy może się czekać. Ale czy człowiek bez nóg kupuje sobie buty? Grzebień nagle stracił użyteczność. Tymczasem kosiarze pobrzękują kosami — plon obfity leży na podłodze — Można by nim jak łabędzim puchem napchnąć niejedną siennik na obraz i podobieństwo pudełka od zapalek. Uroczystość postrzyżyn dobiega końca. Mnóstwo radości i krzyku. Cały zastęp odświeżonych elegantów wali do łaźni jak na bal. — O tem, co się tam działo kronika z powodów oczywistych milczy.

SALON MÓD

Pierwsze dni — jak w ukropie. Nieznani ludzie — nieznane kąty i co krok fantastyczne niespodzianki. Przedewszystkiem trzeba się rozstać z cywilną materiałną powłoką. A dopasować fa-sowane części garderoby — sprawa nietaka prosta jakby się w cywilu zdawało. Gdyby poborowi byli rodzeni przez jeden automat, nastawiony

na jedną wielkość, wszystko byłoby w porządku. Sprawę komplikują indywidualne wzrosty i indywidualne obwody walecznych klatek piersiowych. Każdy otrzymuje kompletne umundurowanie za jednym zamachem. Przed drzwiami magazynu mundurowego rozściela się płaszcz i na ten płaszcz zbiera się ciąg dalszy, a więc spodnie, bluzy, szczołki do zębów, butów i ubrania (podkreślam: szczołki — liczba mnoga — żeby kto nie myślał, że do wszystkiego jest jedna), buty, pasy i inne niewypowiedzialności. Chwyta się potem płaszcz za poły, związa się w toból i maszeruje się na salę „do przymiarki” i tu zaczyna się serja niespodzianek. Oto dwumetrowy dryblas usiłuje przeciętną garderobę dolną tak na sobie umieścić, żeby osiągnięty był na dole i na górze odpowiedni poziom. Próżne usiłowanie. Albo w pasie katastrofa, albo nogawice klasycznie krótko-długie. Aut aut — tertium non datur. Drugi, pękaty jak balon z zawodów o puchar Gordon Benneta, wpycha się w mundur, który na zasuszonym ascecie leżałby obciśle. Celem, którego chce dopiąć jest dopięcie orzełkowych guzików. Napróżno. Trzeba go sznurować jak pannę z ubiegłego stulecia w gorset. Jest również delikwent, który z miną skazańca wpatruje się w parę podkutych buciorów — obydwaj są z lewej nogi. Trzeba odszukać drugiego pechowca, który gdzieś niedaleko zadumał się nad parą dwóch prawych. Gdy się odszukają będą mogli sobie radośnie zaśpiewać: zamiemy się butami, ja tobie dam ten lewy, a ty mi dasz ten prawy. Jedynym skutecznym środkiem do wybrnięcia z tej skomplikowanej sytuacji jest handel zamienny, który prowadzi się we własnym zakresie. Można obserwować armję in statu nascendi. Obok mnie dzielny kolega jeszcze się nie wyplątał z cywilnych nogawic, a już

obejga na sobie mundur, który wyjątkowo leży na nim jak smoking od Zareby. Wygląda bardzo interesująco: pół-cywil, pół-szeregowiec — centaur-chimera o niezdecydowanej przynależności zoologicznej. Metamorfoza odbywa się jednak szybko, cywilów już prawie niema — same mundury, cenzusiaki — wojskowe noworodki.

Dnia 22 września 28 pułk piechoty obchodzi swoje święto — rocznicę zwycięskiej bitwy pod Stepankowiczami. Jako niemrawe rekruty nie braliśmy żadnego udziału w uroczystościach pułkowych. Siedzieliśmy w rejonie koszar jak kury w kurniku i nastawialiśmy ucha na dolatujące z oddali wydęte tony orkiestry, wśród których dominował armatnimi salwami — będen, co świadczyło, że w pobliżu dzieją się wielkie rzeczy, których nam oglądać zakazano. Pierwsza niedziela zeszła na porządkach i na wachaniu atmosfery wojskowej. Jednak już w tę niedzielę stoczyliśmy pierwszy bój — dokładniej mówiąc nie my wszyscy, tylko nasza zaimprovizowana reprezentacja piłki nożnej, która rozegrała match z drużyną rezerwistów dęblińskich i oczywiście dostała tego w skórę, ale bronila się dzielnie, pokazując pazury małych łwiąt. Wynik 5:2. W niedzielę „wojsko” szło spać

z myślą o dniu następnym, dniu, który w dziejach naszej Kompanji ze względu na swą doniosłość zapisany będzie wielkimi literami. W poniedziałek bowiem dn. 23.IX nastąpiło otwarcie naszego Kursu. Otwarcia tego dokonał dowódca pułku p. pułkownik Mikołajczyk. Obecni byli wszyscy oficerowie kursu z dowódcą, kapitanem Szymańskim na czele. W przebiegu uroczystości szczególną mocą patriotycznego i żołnierskiego ducha zaakcentowały się dwa momenty: pierwszy — wręczenie i zawieszenie chorągwi narodowej, znaku Polski wolnej i silnej, drugi — wręczenie rekrutom broni — dla nas chwila ta, choć może o tem przedwcześnie nie należy mówić — miała w sobie coś z pasowania na rycerzy.

Od tej uroczystej chwili minął dopiero tydzień, a nasi przełożeni i dowódcy zdążyli już z nas zrobić coś podobnego do wojska — ale też i bieganiń mamy że aż się gubią pięty. „Rozkład minutowy” w całym tego słowa znaczeniu. Z tego też powodu pióro korespondenta takie chropawe — ale nie dziwnego — teraz trzymamy w ręku nie pióro ale karabin!

rekrut z cenz. J. Kierst.

PIERWSZE ZWIADY

Siedziałem w chałupie i goliłem się. Pożyczone lustro przekrzywiało mi twarz to wzdłuż, to wszerz. Przy złym ustawieniu widać było tylko to przerażone tym wypadkiem oko, to usta od ucha do ucha. Czasami znów wszystkie części twarzy były porozmieszczane fałszywie i w jakichś fantastycznych wymiarach i kształtach. Najbardziej irytował mię nos, który, jak w kalejdoskopie, zmieniał nie tylko formę, ale i barwę i ciągle pchał się wprost pod brzytwę.

Brzytwa również była do niczego. Stara, wysłużona, pamiętała jeszcze czasy Marji Teresy. Jak twierdził dziadek kosztowała kiedyś całego talara, wydanego na jakimś końskim jarmarku w Peszcie — oczywiście, z ociąganiem się i wielkimi targami. Obecnie już była raczej dowodem znikomości wszelkiej rzeczy — i narzędziem tortury, przyjmującym wraz z wyrwanymi włosami z mojego początkującego zarostu, objętym wszelakie najgorsze przekleństwa, jakie umiałem wypowiedzieć w znanych mi trzech obcych językach. Polskiego umyślnie nie używałem, aby się przeklęty przedmiot zbyt nie poufalil.

Właśnie ogoliłem pół twarzy i medytowałem, czy resztę tej przykrej pracy nie odłożyć na później — tembardziej, że za plecami już trzecią godzinę wyło gospodarskie dziecko, gospodyni z hałasem tłukła kartofle dla świni i gospodarz coś poprawiał przy bronie, wałąc o nieszczęsne żelazo to młotkiem, to jakąś blachą, kiedy z wielkim trzaskiem wpadł do izby Michał.

Wybałuszyl swoje głupie, czarne oczy. Ustawił się jak rak i pyta się przerażonym szeptem, który pomimo wszystko był dość silny, aby stłumić hałas izby.

— Co robisz?

Spojrzałem na tego walkonia pogardliwym wzrokiem i mówię krótko:

— Nic... czyś ślepy?

— O Jezu — powiada — i tą brzytwą?

A trzeba wiedzieć, że brzytwa moja była znana w całym naszym plutonie, mam bowiem dobre serce i chętnie się dzielę swoimi dobrami materialnymi z kolegami.

— Tybyś może chciał, żebym się golił brzytwą jego cesarskiej mości? — pytam ironicznie i mydlę z zapalem połowę twarzy.

— Słuchaj, mam ci coś ważnego do powiedzenia, chodź ze mną zaraz przed chałupę.

Mówi mi to i widzę, że mu ślepią goręją zapalem. Michał jest wogóle nienajgorszy chłop. Pełne 2 mtr. wysokości. Siłę ma taką, że dorosłego konia może nosić na rękach, ale, jako że wszystko na świecie musi podlegać prawu równowagi, więc do swojej siły ma charakter dziecka — pełen słodyczy, dobroci i ustępliwości. Nie umie się gniewać, ani nie odróżnia złego od dobrego, dla niego wszystko jest dobre i słuszne, oprócz wrogów, których należy prać, zresztą również dobrotni — bez nienawiści i pogardy. Jeżeli wróg jest dobry żołnierz, to trzeba takiego drania też szanować — powiada.

— Co cię tak przypiliło — pytam się — poczekaj chwilkę... za jaką godzinę będę gotowy.

— Nie, to niemożliwe — hu-czy mi nad głową z wielką stanowczością.

Patrzę na jego ładne, trochę kobiece usta, na wielkie, obrośnięte czarnymi włosami ręce, na olbrzymie nogi, które niecierpliwie przebiera. Trzewiki na bardzo zniszczone i owijające sięgają tylko do połowy potężnych łydek.

— Czy nie widzisz, jakim ługiem gębę sobie napaćkałem, mówię — jeśli wyjdę na powietrze, to mi cała spierzchnie i djabli wezmą moją urodę.

— Jak się dowiesz o co chodzi, to kręćka dostaniesz z radości — bimbać będziesz na urodę.





„Chciałbym być w Abisynji,
niechbym nawet poległ,
— jęknął przed lustrem dziwnie
przystrojony Lolek, —
ma to być faktem, a nie żadną
błagą
że tam, zrzuciwszy mundur
wolno chodzić nago.



Przytulił swą kochankę gibką ni-
czem lina
Chciał ją mieć jak najbliżej: ca-
łować, ścisnąć...
w tem wstrząsnął się i spytał, „cze-
muś taka śliska”
ona mu szepnęła: „No, a waze-
lina”...



Co się ma dziać, niech się dzieje
My — pracujmy jak Madeje.

Redaktor Naczelny:
podechor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI
Zastępca Redaktora: podechor. J. SZPER

Sekretarz Redakcji: podechor. W. BRODZIKOWSKI
Kierownik artyst.: podechor. A. SIEMASZKO
Kierownik Administracji: podechor. H. JANCZEWSKI

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa — Smolna 26/28. Konto P. K. O. 26.720
WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO - OŚWIATOWEGO.

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podchorążowie i szeregowi z cenzusem: J. Błażejowski, W. Bieliński, H. Bzyl, J. Dostatni, M. Dytel, St. Fiszer, Al. Górski, R. Gürtler, J. Kierst, Z. Kmita, St. Kogut, A. Kroh, T. Królicki, A. Leszczyński, B. Nuszkowski, M. Palamarczuk, M. Sarama, K. Szychowski, B. Skrata, J. Tułasiewicz, T. K. Wyszowski, Wł. Zacharjasiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA”, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 295-80.